



POZNAŃ

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

LIPIEC-
SIERPIEŃ

O. Małkowska.

Przewodnie idee harcerskiego życia.



pasaliśmy ziemskie kolisko łańcuchem dwumiljonowej rzeszy skautowej rozsianej po wszystkich lądach. Marzenie naszego wieszczą się ziszczą, bo oto stoimy ramie przy ramieniu, my, młódz wszystkich krajów, by łamać się z własną słabością i do nieba sięgać po laury. Sceptyk może powie, że dwa miliony to znikoma liczba wobec ogromu całej ludzkości, lecz pamiętajmy, że kiedyś 12 prostaczków wyruszyło z Galilei na zdobycie świata i zwyciężyli.

Nie mieczem, ni bogactwem świat szli zdobywać lecz wielką ideą miłości, braterstwa i ofiarnej służby dla której i my się w szeregach skautowych zrzeszamy. Cała historia ludzkości to ciągła walka idei Chrystusa, ewangelji miłości i postępu z „Synem Ciemności”, samolubstwem i zacofaniem. Wielka wojna światowa głosiła odrodzenie świata, lecz dotąd tylko chaos przyniosła, tylko obniżyła moralny poziom życia narodów, które w niej czynny brały udział. Bo odrodzenia świata nie można dokonać mordami, gwałtem i rozbojem, lecz wewnętrznym przeobrażeniem jednostek. W ciemnych chwilach jakie dziś świat przeżywa skauting jest tą jasną jutrznią zapowiadającą nowe, lepsze jutro. Dziś dwa miliony młodzieży skautowej przyjęły spuściznę duchową dwunastu prostaczków z Galilei, spuściznę duchową rycerstwa i idą pod sztandarami Chrystusa świętą zdobyć Jeruzalem.

Przykazanie miłości, jedyne przykazanie jakie Chrystus dał ludzkości, skauting wypisał na swych sztandarach jako naczelną hasło. Bóg, Ojczyzna i Bliźni — oto przewodnie idee skautowego życia, służenie im w czystości ducha, karnie, ohotnie i ofiarnie, to zadanie każdego skauta. Tak jak rycerstwo miało swój kodeks, który każdego rycerza

obowiązywał tak i skauting w prawie swoim ma ujęte te wymagania, którym każdy skaut musi odpowiadać. Prawo to nie wymaga wielkich wysiłków, nadzwyczajnych czynów, żąda ono przede wszystkim służby. Jednym z pierwszych obowiązków jest wyświadczanie codzien choć jednej przyjacielskiej usługi, choćby to był czyn drobny, byle spełniony bezinteresownie z myślą dopomożenia innym. Każdy punkt prawa zawiera ten moment służby. Jeśli nakazuje ono skautowi oszczędność, to na to, by nie stał się on kiedyś ciężarem dla swego otoczenia i żeby w razie potrzeby mógł kraj swój wspomóc ofiarą, jeśli nakazuje pogodę, to na to, żeby skaut swoją pogodą innym otuchy dodawał, jeśli nakazuje karność, to żeby skaut przez podporządkowywanie swoich własnych zamierzeń czy zachcianek pod dobro ogółu, czy to rodziny, zastępu, drużyny czy gminy stał się budowniczym współzycia a nie jego niszczycielem. W ten sposób skauting niesie światu lekarstwo na chorobę egoizmu, jaka dziś wszystkie kraje zalewa. Bóg i Ojczyzna było niegdyś hasłem naszych przodków, Bóg, Ojczyzna i Bliźni, to hasło dzisiejszych skautów.*) Przez długie lata naszej niewoli Ojczyzna, jej niepodległość i wolność, była naszą wyłączną troską i marzeniem. Na tym zagadnieniu skupiały się wszystkie nasze wysiłki i dążenia. Dziś osiągnęliśmy Wolność, Polska stanęła w rodzinie ludzkości nie jako sługa, lecz jako jeden z członków. Temwiększa więc odpowiedzialność na nas spoczywa. Trzeba pamiętać, że tak jak w rodzinie

*) Skauci całego świata salutują trzema palcami, dla przypomnienia hasła: Bóg, Ojczyzna, Bliźni. Tylko dzieci, t. j. wilczęta i krasnoludki, oddają ukłon dwoma palcami. Czy nie wartoby i u nas przyjąć ten międzynarodowy tajny znak skautowy i hasło polskie „Bóg i Ojczyzna” rozszerzyć na „Bóg, Ojczyzna i Bliźni?”

bramy co krok to inne, piękniejsze i ulice boczne poszczególnych chorągwi. U wejścia obóz 13 warszawskiej, jeden z najlepszych. Dalej szereg namiotów służbowych, wreszcie namiot kina, (które

W niedzielę odbyły się popisy w parku Sobieskiego. Niektóre ich części były nowe i ciekawe. Do takich zaliczymy dobrze wykonane piramidy gimnastyczne jednej z d-n wileńskich, ćwiczenia



Wszystkie sztandary zebrane po nabożeństwie. (Fot. Wytwór. Dośw. Z. A. S. K.).

urządził Zw. Artystów Sztuki kinematograficznej) gospody i C. Komisji Dostaw. Kramów zresztą więcej: Kooperatywa warszawskich drużyn i wiele prywatnych. Z brzegu chorągiew poznańska z radiostacją 4 bydgoskiej, dalej czynna drukarnia Dąbrowy

maczugami przy akompaniamencie melodji gwizdanej drużyny z Wejherowa, musztrę chłopców z zawiązaniemi oczyma, wreszcie pantomimę d-n warszawskich na temat „Dzień mieszczucha a harcerza”. Ciekawe też były harcerskie popisy akrobatyczne jednost-



„Czuj Duch” na Zlocie Narodowym. (Fot. dh. Siniecki).

G., jeszcze dalej obóz zagranicznych gości — cudzoziemców i Polaków, efektowne wieże z masztami d-n warszawskich, wreszcie nad Wisłą obóz 20. warszawskiej, pełniący służbę rzeczną.

Prace obozowe ukończono 4-go w piątek. W sobotę po mszy św. otwarto obóz i dokonano przeglądu. Popołudniu zawitał doń Druh Prezydent, a po obejrzeniu wszystkiego zasiadł wraz z wiarą do ogniska aby przeżyć z nią jeden z tak licznie przez nas spędzanych wieczorów.

kowe — ale jako takie mniej z ogólnego punktu widzenia cenne.

Poniedziałek pozostawiony był wewnętrznej pracy w obozie i zawodom, czemu przypatrywała się tłumnie napływająca publiczność. Było jej ogółem w obozie kilkanaście tysięcy — spora liczba? Czego zaś ona nie widziała? Była i poczta i telefony i warsztaty i różne zwierzęta z krukami z Ursynowa na czele, i straż ogniowa i orkiestra z Sosnowca i wiele, wiele dobrych rzeczy.

W tym dniu po południu wyruszyły ku miastu wszystkie sztandary wraz z reprezentacjami, aby złożyć w dowód hołdu u stóp pomników A. Mickiewicza i Księcia Józefa wieńce. Przed chłopcami postępowały drużny, pochód otwierała i zamykała drużyna reprezentacyjna.

Wtorek, jako ostatni dzień Zlotu przeznaczono na zwiedzanie miasta. Wyruszyły z obozu gromady braci z kresów wschodnich czy zachodnich, by ujrzyć tę swoją stolicę. Zostały jeno te drużyny, którym wyznaczono w tym dniu służbę. Biedne... niechaj osłoda będzie im przeświadczenie, że pełniły obowiązek!

Zlot Narodowy na ekranie.

Tak, tak! Będziecie na ekranie — naturalnie ci z Was, którzyście na Zlocie byli. Ale że po pierwsze nie wszystkim z Was było danem, na nim być, a po drugie Bóg dobry wie kiedy i gdzie zobaczymy się na tym ekranie, dostaniemy film wykonany na Zlocie, postanowiłem użyć innego sposobu. Podpatrzyłem chytrze, co na filmie uwieczniano — i teraz możemy zacząć przedstawienie. Nie trzeba tu ani sali ani aparatu ani filmu ani nic podobnego. Z Waszej strony wystarczy trochę fantazji — z mojej papier, pióro i natchnienie, które oby mnie nie opuściło przed czasem.

Czytajcie i niech się Wam zdaje, że patrzycie!

Zgasić światło! Dzwonek!

Na ekranie pojawia się pierwszy napis: „Krajowa wytwórnia tanich a niezawodnych filmów z życia harcerskiego pod firmą Czuj Duch”. Napis trzymam krótko — nie potrzebujecie gwizdać!

Oto już drugi: „Rozbijanie obozu”. Jeszcze chwila i mamy obraz.

Na pierwszym planie dużo piasku. Na prawo płynie rzeczka, przez którą ustawicznie przeprawia się tam i sam, wielkie mnóstwo harcerek, może sto, może tysiąc — trudno policzyć, bo jak wiecie obrazy filmowe migają i idą szybko jeden po drugim. Drużny muszą się widocznie bardzo spieszyć, gdyż nie czekają z przeprawą na imponujący most, budowany przez inne harcerki. Wbito już cztery paliki, właśnie wkłada się piąty. Na lewo widzimy kilka druhen fabrykujących w pocie czoła i z prawdziwie chrześcijańską rezygnacją kołki i podpory do namiotów. Pracę tę nazwiemy cichem bohaterstwem. Cichem — bo nie znajduje uznania u jeszcze innych druhen, które stawiając obok namiot uważają, że ich praca jest najważniejszą — bo jej rezultat wystaje ponad ziemię. Bohaterstwem — bo... spróbuj siostrzynie ciosać kołki tępym toporkiem, a zrozumiesz dlaczego. Opodał właśnie stawia się namiot.

Wygląda to tak: duża płachta natknięta na wysokiej żerdzi poruszając się zdradza obecność we wnętrzu kogoś, co tę żerdź przytrzymuje. Ten ktoś daje ustawiczne ale z reguły niezrozumiałe, sygnały głosowe. Wokoło stoją drużny, a każda ma sobie powierzony jeden kołek z poleceniem wepchnięcia go do piasku. Nie tak to jednak łatwo, jak się zdaje! Toteż drużna drużynowa spieszy z pomocą pierwszej z brzegu i razem umiejscawiają

Od 3-go do 5-go lipca odbyto zawody z zakresu wychowania fizycznego poza obozem. Wyniki znajdziecie na innym miejscu, jak również nieco danych liczbowych.

Chciałem jeszcze dodać, że „Czuj duch” był reprezentowany tak w obozie męskim jak i żeńskim, że sprzedawał swój złotowy numer, a także rozdawał różne ciekawe rzeczy i starał się porozmawiać z jak najszerszą rzeszą braci harcerskiej. Jakiem zaś cieszył się powodzeniem niech Was pouczy fotografia.

szczęśliwie kolek, potem idzie do drugiej i t. d. Najpóźniej wszakże przy piątej z rzędu pierwszy kołek puszcza — wobec czego drużynowa obszedłszy namiot wkoło rozpoczyna swą wędrówkę na nowo. I dlatego musi ona obejść namiot tak wokoło dobrych kilka razy, aby można o nim powiedzieć, nie że stoi, ale przynajmniej, że zwisa. Kto jeszcze nie wie, że to obóz druhen w Świdrze?! Obraz znika.

Napis: „Jak robiono film w obozie”. (Zdradzę Wam teraz sekret sensacji kina). Obraz. Operator idzie z jakimś ważnym od namiotu do namiotu z miarką w ręce i łapiąc wszystkich najmniejszych wilczków mierzy ich od pięt do czubów. Chodzi o rekord in minus, o wyszukanie jaknajefektowniejszej „maludy”. Wreszcie jest. Odrywają biedactwo od ledwo co zaczętej miski ryżu na słodko (jak wróci będą się po nim oblizywać koleddy — to los! — co?) i wloką przed namiot komendy. Tam dają mu pięknie lśniącą i groźnie powykręcana (omal nie centkowaną) trąbę i każą w nią dać. Mały dobywa ostatnich sił, i tak pucolowate policzki wydymają się, jakby były zrobione z różowej gumy; efekt filmowy bajeczny.

Ale nasze kino, to takie dziwaczne kino, co i dźwięki chwytą! Ach, czy słyszycie jak trąba żałościwie płacze, jak zawodzi i chrypie — jakby chciała wypłakać cały żal małego trębacza, żal za niedojeżdżoną, a na wieki dla niego przepadłą porcją ryżu na słodko!

Smuga świetlna w okienku drga, aparat szeleści! Nowy napis: „Straszny wypadek rowerowy”. Widzimy park Sobieskiego. Na trybunach mnóstwo ludzi, a każdy trzyma w ręku numer złotowy Czuj Ducha, w który go zaopatrzyli dzielni czwartacy z Bydgoszczy i piętnastacy z Poznania. Bieżnią koło łoża Druha Prezydenta jadą ku sobie dwaj cyklisci i nagle, jak dwa wozy tramwajowe po jednym torze jadące, zderzają się w pędzie strasliwym. Szczęk łamanych kości (rowerom się nie stało), tuman kurzu, krew się leje! Druh Prezydent przejęty unosi się z swego miejsca, kilku widzów biegnie ku leżącym, druh Sedlaczek zafasowany spieszy wraz z nimi. Ale wszystkich wyprzedza sanitariusz czternastej drużyny z Poznania. Opatruje strasliwie zakrwawioną głowę i przyzywa nosze, które nadjeżdżają niebawem na trzech rowerach. Ranny umieszczony wygodnie. Cały wehikuł objędzia plac wokoło zbierając burzliwe oklaski.

Złośliwi mówią, że krew pochodziła z... buraka. Ale nie wierzy im. Oni to bowiem twierdzą również, że pewien druh zblamował się, syjąc się przed samym Druhem Prezydentem z roweru w piasek. Druh ów tymczasem umyślnie, na cześć Druha Prezydenta, scentrował przednie koło i zaprezentował kunszt zlatywania na ziemię stylem uproszczonym. No — ale moje kino zaczyna już przemawiać! To źle! Patrzmy co dalej:

Napis: „Zajęcia w obozie”. Obraz: Najpierw sama wysoka trawa, w dali duży namiot. Obraz powiększa się: z trawy wystają różnego kalibru czupryny, każda z nich należy do jednego chłopca, a wszyscy oni wyskubują z trawy w pełnym powagi skupieniu żdźbła słomy. Składają je do worków, których ujście starannie zaciskają piastką strzegąc ich zawartości niczem Eol swoich wiatrów. Zajęcia to bardzo pożyteczne, gdyż uczy cierpliwości i dokładności. Zaś Druh Prezydent gdy przyjedzie do obozu zdziwi się zapewno, że w trawie niema słomy a w siennikach jest. A to figiel!

Napis: **Odjazd.** Dworzec kolejowy. Bagaż zwozi się do wagonów. Harcerz bawi się w bagażowego i ma zamiar użyć wózka do zwożenia.



Przy ognisku

(z cyklu: Luźne karty z jednego rozdziału.)

Noc była cicha. Nad naszymi głowami
Sklepieniem gąszcz się rozwiesił sosnowy
O pni wysmukłych oparty filary.
Chwilami tylko poprzez drobne szpary
W górze, gwiazd jasne się mignęło oko.
Północ już była i las spał głęboko.
Usnęły długie namiotów szeregi,
Co białą płóciem swych, jak świeże śniegi
Świeciły z gęstwin leśnych korytarzy,
Myśmy nie spali, byliśmy na straży.

Przed nami ogień płonął. Smolne kłody
Dawnych nam dziejów śpiewały rapsody,
Pogańskich mytów wskrzeszając postacie.
Wkoło nas kręgiem, jakby przy objacie
Snuły się wróżki, widy i kapłani
Z Światowidowych gontyn gdzieś zwołani,
Ze świętych gajów, uroczysk i kniei,
A gdy mijali ogień, po kolei
W modlitwie nad nim podnosili dłonie.
Las się tymczasem roztopiał w harmonie
Przedziwnej pieśni, którą tłum gęślarzy
Zawodził w głębi leśnych korytarzy.

Ogień z radosnym trzaskiem w górę strzelał,
Chwytał kłodziska, przepalał, spopielał
I znów po nowo sięgał — nigdy syty.
Czasem się w dymu otulał błękitny,
Jak bóstwo, które hołdami znużone

Zdawałoby się, że łatwa rzecz, a jednak... ten dziwny wózek ma dwa koła z jednej strony a jedno z drugiej. I co go pociągnąć, idzie albo w prawo, albo w lewo. Można nim kręcić w koło — ale naprzód — najtrudniej. Napocił się nasz brat dobrze, zanim mu jakaś litościwa dusza nie pokazała, jak się brać do rzeczy. Koło wagonów straszny ruch. Ładuje się harcerki, harcerzy kotły, kołki i koce, sienniki, śpiwniki i t. p. towary. Potem rachuje się drużyny. Jednej drużyny brak! Szukanie, rwetes! Bez rezultatu. Drużynowa z rozpaczy przespała smacznie całą noc. Dopiero przy rozładowaniu przekonano się, że zaginiona została niebacznie przysypana sprzętem obozowym, a duch karność kazał jej nie sprzeciwić się temu.

Ttssrrrr... Słyszycie, jak skrzeczy mój aparat? to znak, że film dobiega końca. Jeszcze jakiś napis: „Dzień dobry”. Dlaczego „dzień dobry”? — Spytajcie raczej dla kogo? Oto dla tych, którzy nie zrobili użytku z fantazji i zdrzemnęli się „patrzac” na mój film.

Teraz ekran cały jasny, potem cały ciemny. Na sali Światło! Aaaaa...

Operator.

Oblicze swoje kryje za zastłonę.
Dokoła ognia swawolne chochliki
Chwytały żuźle, iskry i płomyki
I rozrzucały je wkoło gąściami.
To przyczaiwszy się gdzieś między drwami
Na tuman dymu wskakiwały siny
I tak z chichotem leciały w gęstwiny.
Czasem w ciemnościach mignął zwierz spłoszony,
Czasem uroczone, trwożne dziwożony
Zwabione ogniem, wychylały głowy
Poprzez paproci welon koronkowy.
Tylko robocze, małe krasnoludki
Wciąż pracowały. — To spędzały trzódki
Mrówek, zbudzonych jasnością ogniska,
To znowu biegły w mroczne uroczyska
Dymu skłębione tumany rozwiewać,
Lub śpiącym kwiatkom kołysanki śpiewać.

Snem — li to było wszystko — czy też jawą?
Ta noc, ten ogień błyskający krwawo,
Który strugami bijącej jasności
Takich niezwykłych do nas ściągnął gości.
Jedno wiem tylko, że się nam zdawało
Jakby się oto przyoblekły w ciało
Jakieś wspomnienia dawne, dobrze znane,
Może wyśnione, może przeżywane —
Dobyte nagle z mroku zapomnienia
Urokiem ognia świętego płomienia.

O. Malkowska.

Harcerze polscy w Paranie.

Daleko [na południowym Zachodzie, gdzie pod 25 stopniem szerokości geograficznej, wśród puszczy dziewiczych, osiadło około 200 tysięcy Polaków.

Wycierpieli niesłychane męki poniżenia, ubóstwa, wprost nędzy, aby teraz, od paru lat szczególnie po odzyskaniu niepodległości Starej Ojczyzny, korzystać z owoców własnej, nie mającej sobie równej pod względem wielkości i ogromu pracy.

Synowie i wnuki tych najwytrwalszych na ziemi pracowników znają już tylko Polskę z opowiadania, jako kraj baśni i legendy, o którym ojciec, lub dziadek emigrant wspomina w kole rodzinnym ze łzą rozczulenia i drżeniem głosu.

Młode pokolenie polskie drugie, lub trzecie tutaj urodzone, marzy o Polsce i maluje sobie jej obraz świetnymi kolorami fantazji i legendy, a łącząc się w drużyny harcerskie i organizacje młodzieży wypełnia obrząd względem dalekiej, mistycznej Metropolii.

Pamiętajmy, że harcerze parańscy znają Polskę tylko z ust swoich dziadków i ojców, a żaden z nich nigdy nie widział śniegu, dęby oglądali tylko nieliczni chłopcy z okolic Malletu, gdzie cztery drzewka rosną w polskiej szkole średniej, otoczone opieką, jak żywe relikwie.

Żaden też z harcerzy nie wyobraża sobie nawet wnętrza lasu polskiego, a z opowiadań starszych myśli o nim, jak o prawdziwej świątyni, gdzie chodzić można pomiędzy drzewami swobodnie, jak po sali kolumnowej, gdzie panuje półmrok chłodny, czystość, woń żywiczna i cisza. Z życia codziennego znają oni tylko straszliwą puszcę zwrotnikową: mokrą, duszną i parną, zbitą w gąszcze, jak ściany, zdradliwą, odurzającą, groźną.

Pracowite, pełne trudów życie na kolonii, pełne tęsknoty i podziwu opowiadania ojców, wreszcie klimat wyżyn podzwrotnikowych i otoczenie wyrobiły typ chłopca znacznie się różniący od pierwowzoru europejskiego. Właściwie bo każdy chłopak parański posiada wiele cech prawdziwego harcerza, choć o nim często nic nie słyszał. Każdy z nich, wyćwiczony życiem w pobliżu borów dziewiczych, polowaniami z ojcem lub starszym bratem, wycieczkami samodzielnie do puszczy etc., umie stąpać tak cicho i sprawnie, jak indjanin, stałe na palcach płynnie i szybko. Chłopcy tylko umieją przenikać gąszcze dżungli, przewijając się gibko pomiędzy splotami ljan i trzciny — „takuary”, tam gdzie nawet przywykły do tych borów stary kolonista kroku nie ujdzie bez „fakona” (nóż do przecinania ścieżki w lesie). Od najmłodszych lat umie rozpoznąć jadalne owoce i jagody wśród niesłychanego bogactwa lasu tropikalnego, umie rozpoznąć je pewnie i od razu pod groźą śmiertelnego zatrucia tyłoma innymi, licznymi, a niebezpiecznymi okazami tutejszej flory.

Chłopiec-parańczyk z reguły chodzi przez cały rok boso i nigdy się nie zrani, nigdy nie nastąpi na kołek, których tu mnóstwo czeka zdradliwie na nieostrożną stopę. Umie on tak przespierać oczyma wąską „pikadę” (ścieżka w lesie), że niezmiernie rzadko się zdarza, aby któryś z tych prawdziwych „synów puszczy” nastąpił na śpiącą żmiję, lub pajaka. Owszem żaden gad nie ujdzie uwagi ich bystrych źrenic. A kiedy raz poprosił maletański zastęp „wilków-guara” o przyniesienie

„żarak” i innych węży jadowitych — chłopcy w przeciągu tygodnia zebrali ładną kolekcję z kilkunastu okazów. Znosili więc te groźne gady z przetrąconym grzbietem, trzymając je za ogon, przyczem lada ruch nieostrożny, lub chwila nieuwagi, a odważnemu łowcy groziło ukąszenie od wijącej się na wszystkie strony paszczy jadowitego potwora. Niektórzy łapali żmiję na maleńkie lassa i potem niesli je do domu z zięjącą paszczą, ogonem wściekle owiniętym dokoła ręki.

Jednakże jadowite węże to nie jedyne niebezpieczeństwo puszczy parańskich. Pod kamieniami w suchszych miejscach kryją się czarne, olbrzymie ptaszki, jeszcze bardziej jadowite, niż żmiję, na liściach siedzą wielkie włochate liszki, których jeden włos parzący może przyprowadzić o ślepotę, o ile dostanie się do oka, a dołknięcie której powoduje długotrwały ból piekący i opuchnięcie ciała.

Te i wiele jeszcze innych niebezpieczeństw umieją tutejsi chłopcy rozpoznać i uniknąć

Posiadają przytem niezwykłą, jak na swój wiek

siłę i zręczność, a płuca i serce w tym czystym i wyżynnym powietrzu wprost wspaniale (Zaludniona Parana jest w znacznej części wyżyną, wznoszącą się do 1200 m. nad poziom oceanu Atlantyckiego). Umieją się wdrapać na niebotycznego pinjora po orzechy, osiodłać konia i jechać na nim często dzień cały i dłużej, powozić wozem, co w Paranie nie jest wcale rzeczą łatwą wobec wąskich i niesłychanie stromych dróg i koniecznej wobec tego umiejętności ciągłego używania hamulca, który znajduje się przy każdym wozie.

A fach woźniczy cieszy się tu poważaniem i dobrego „karośnika” — (woźnicę) zna cała okolica. Nie powinno to nikogo dziwić, jeśli się zważy, że do „karosy” parańskiej zaprzęga się 5, 7 czasem więcej koni, lub mułów, a gorszych i dzikszych dróg niema na całym świecie chyba.

Chłopcy już od najwcześniejszych lat biorą udział w ciężkiej, karczunkowej pracy rodziców, odbywają dalekie podróże — słowem żyją tym dzikim, pierwotnym, pionierskim żywotem pierwszych osadników. Niektórzy stracili ojców w walce z „fanatykami” („kabołki”, leśni ludzie).

Nic też dziwnego, że skauting w swej praktycznej postaci przyjął się tutaj od razu.

Chłopcy z całym zapalem ćwiczą się w mustrze, sporcie wszelakim, robią wycieczki, grają i bawią się, polują, w niektórych szkołach zbierają owady, skóry zwierząt, rośliny etc. I pomimo tego, że w Paranie brak polskiego szkolnictwa średniego, tej ostoji harcerstwa w Polsce, ruch Baden-Powellowski ma tutaj zapewnione powodzenie, właśnie

ze względu na „harcerski” tryb życia tutejszych chłopców. Nie wytworzyła się jeszcze w Paranie postać „mamusiniego synka”, niema jeszcze typu dziecka miasta. Wylącznie prawie panuje zdrowy, pionierski typ chłopca zaradnego, samodzielnego, żyjącego z trudem i niewygodami, znającego przyrodę i stykającego się z nią od rana do wieczora — typ urodzonego harcerza.

Apolonjusz Zarychta.



Start d-ny w M. Mallet.



Strzelanie z łuku.

Kilka cyfr ze Zlotu.

Najpierw chcę Was ostrzec, że cyfry tu podane nie są pewne, bowiem nie mogłem ich wydestakować z źródeł kompetentnych. Niechaj zatem nikt na nie nie przysięga, a jeśli znajdzie błąd niech się nie dziwi, tylko napisze nam o tem.

A potem chcę dodać, że podaję cyfry dla tych, którzy bez nich nie mogą żyć. A podaję je osobno z uwagi na tych, którzy z cyframi nie sympatyzują.

Ogólna liczba uczestników Zlotu w obozie męskim przekroczyła liczbę 4000, w obozie żeńskim 1000. Z tego u druhow przypada na chorągiew warszawską 1014 w 27 drużynach, lubelską 326 w 19 dr., lwowską 311 w 27 dr., poznańską 305 w 16 dr., pomorską 215 w 14 dr., sosnowiecką 195 w 14 dr., i t. d. Pocieszające jest, że z chor. wołyńską przyjechało jednak 167. Ze Śląska mieliśmy tylko 30, co się tłumaczy znacznymi trudnościami materialnymi i technicznymi. Polskich harcerzy z zagranicy przybyło 71, skautów zagranicznych ok. 100. Co do druhen szczegółów nie znam.

Nagrody otrzymały następujące drużyny męskie: Za wyprawę jednostkową 13 warsz., za wyprawę drużyny 20 warsz., za samodzielne urządzenie się 13 warsz., za estetyczne urządzenie się 13 warsz., za pożyteczną służbę na Zlocie 20 warsz., za gry harc. i ruch. 20 warsz., za pokaz samarytański 15 pozn., za strzelanie 2 warsz., za śpiew i tańce 13 warsz., za popis grąjków 1 ursynowska, za popis

artystów 2 warsz., za najbardziej pomysłowy pokaz 3 warsz., za najlepszy warsztat 3 dąbrowska.

Wobec tego i z uwzględnieniem innych momentów uznano 13-tą warszawską drużyną mistrzowską Polski.

Uszeregowanie drużyn na dalszych miejscach przedstawia się następująco:

2. — 3 warsz., 3. — 20 warsz., 4. — 1 ursynowska, 5. — 13 wileńska, 6. — 12 warsz., 7. — 10 warsz., 8. — 2 warsz., 9. — 4 warsz., 10. — 4 bydgoska, 11. — 14 poznańska, 12. — 1 przasnyska, 13. — 15 poznańska, 14. — 19 warsz., 15. — 8 piotrkowska, 16. — 1 lwowska, 17. — 6 lubelska, 18. — 11 łódzka, 19. — 27 warsz., 20. — 1 lubelska, 21. — 5 poznańska, 22. — mińsko-mazowiecka, 23. — 3 lubelska, 24. — 1 chełmska, 25. — 1 grajewska, 26. — 1 kowelska, 27. — 7 warsz., 28. — 53 warsz., i t. d.

U druhen zdobyła chorągiew wołyńska I nagr. za śpiew i I szą za tańce, ch. łódzka I szą za obozownictwo i II-gą za estetyczne urządzenie namiotów, ch. poznańska I szą za est. urządz. namiotów i II-gą za tańce, ch. pomorska II-gą za obozownictwo. Chorągiew warszawska podobno nic nie dostała.

Na tem kończą się moje wiadomości. Może w przyszłym numerze będę je mógł rozszerzyć i poprawić.

Rep.



Wyniki zawodów sportowych na Zlocie.

Bieg 60 mtr. juniorów. 1. Polkowski — Warszawa czas 8,2 sek., 2. Piotrowicz — Warszawa, 3. Konopka — Lwów.

Bieg 100 mtr. 1. Mieszkowski — Warszawa czas 12,1 sek., 2. Kozłowski — Łódź, 3. Jagalski — Toruń (przedbieg Zacharzewski 11,5 sek.).

Bieg 400 mtr. 1. Mieszkowski — Warszawa — czas 56,2 sek., 2. Adamcio — Lwów, 3. Rudnicki — Warszawa.

Bieg 1500 mtr. 1. Wituch — Warszawa czas 4 m. 34,2 sek., 2. Centkiewicz — Warszawa czas 4 m. 36 sek., 3. Klisz — Lwów.

Bieg 1500 harc. 1. Forys — Warszawa czas 6 m. 7 s., 2. Dębicki — Łódź czas 7 m. 14 sek., 3. Ptaszycki — Warszawa.

Bieg sztafetowy juniorów 4 × 60 mtr. 1. Warszawa I. juniorów, 2. Warszawa seniorów poza konkursem.

Bieg sztafetowy seniorów (Olimpijski). 1. Warszawa I. czas 3 m. 50,5 sek., 2. Lwów, 3. Łódź.

Skok w dal. 1. Kozubski — Poznań 5,52 mtr., 2. Kubik — Poznań 5,42 mtr., 3. Mieszkowski — Warszawa 5,41 mtr.

Skok wyż. 1. Szolc — Warszawa 152,5 cmtr., 2. Sarnecki — Łódź, 3. Polkowski Warszawa.

Skok o tyce. 1. Litwiński — Toruń 2,64 mtr., 2. Grzyb — Lwów 2,53 mtr. poza konkursem Sauter — Lublin 2,59 mtr.

Rzut dyskiem. 1. Sido — Lwów 32,90 mtr., 2. Piasecki — Poznań 25,54 mtr., 3. Rebowski — Łódź 24,42 mtr.

Rzut oszczepem. 1. Zadrożny — Warszawa 41,40 mtr., 2. Przystojecki — Warszawa 37,65 mtr., 4) Zemanek — Lwów 33,79 mtr., (poza konkursem Kiernożycki 37,41).

Rzut kulą. 1. Rebowski — Łódź 8,41 mtr., 2. Sido Lwów — 8,06, 3) Sylwestrowicz — Warszawa 7,82 mtr.

Rzut granatem. 1. Zadrożny — Warszawa 48,77, 2. Sylwestrowicz — Warszawa 46,75, 3) Sido — Lwów 45,87, (przedrzut Zadrożny 51,55 mtr. Warszawa).

Pięciobój wojskowy. 1. Jagalski — Toruń, 2. Mieszkowski — Warszawa, 3. Sido — Lwów.

Zawody pływackie.

Bieg 60 mtr. juniorów. 1. Trzewiński — 20 Warsz. czas 32 s. 2. Piotrowicz — 13 Warsz.

Bieg 100 mtr. styl klasyczny. 1. Lechowski — Ursynów czas 36 s. 2. Sylwestrowicz — 13 Warsz.

Bieg 100 mtr. bieg grzbietowy. 1. Malinowski — Ursynów czas 1 m. 34 s., 2) Lechowski — Ursynów czas 1 m. 37 s.

Bieg 100 mtr. styl dowolny. 1. Lechowski — Ursynów czas 1 m. 22, 2. Makowiecki — 20 Warszawska.

Skoki. 1. Lechowski — Ursynów, 2. Piotrowicz — 13 Warsz.

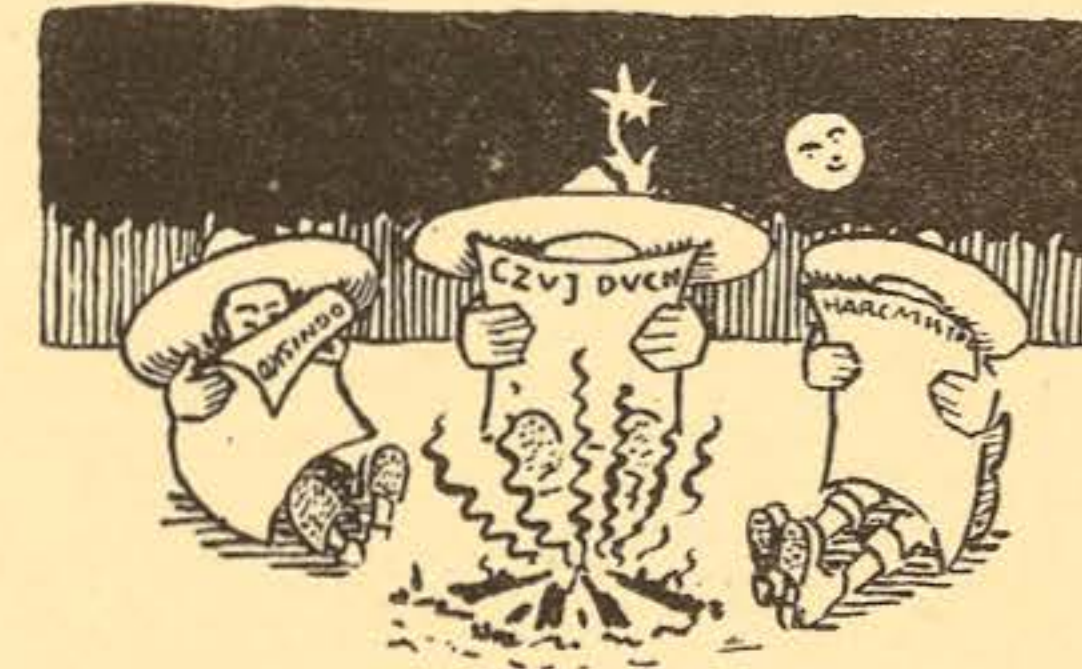
Rozgrywki gier ruchowych.

1. Piłka nożna finał. H. K. S. Czuwaj (Przemyśl) Lwów — H. K. S. Varsovia 4:2 dla Czuwaju, rogów 8:2 dla Czuwaju.

2. Piłka polska (szczypiorniak) finał 14 Poznańska — 13 Warszawska 5:0 dla Warszawy.

3. Piłka latająca finał. Łódź — Warszawa 2:0 dla Łodzi.

4. Piłka koszykowa półfinał. 2 Warszawska — Poznań 10:2; towarzyski 2 War. — Poznań 22:2 oba wyniki dla Poznania.



Prasa na Zlocie.

Na Zlot zawitało kilka pism: wbrew wszelkim przepisom unoszą się w powietrzu porwane wiatrem ulotki reklamowe „Harcmistrza” i „Czuj Ducha” (wybac, czytelniku, że umieszczamy siebie już na drugim miejscu, ale coż robić, jeśli takie były ulotki, że na jednej stronie było wydrukowane — „Harcmistrz”, a na drugiej „Czuj Duch”), gdzieśgdzie się ukazywał „Skaut” w różowym stroju, zalecały się warszawski „Zlot” i zlotowe „Harce” z bezpłatnym dodatkiem w postaci programu zlotowego, widzieliśmy burakowy „Głos harcerza” z Kalisza i nowogrodzkie „Nasze życie”. Zajmiemy się nimi po kolei.

„Skaut”, jak i inne pisma, z wyjątkiem specjalnych „Harców” nie poświęcił zbyt dużo miejsca Zlotowi. Numer, ciekawszy naogół od poprzednich, rozpoczyna krótki wierszyk — „Na zlot”, będący wstępem niejako do artykułu „Przed Zlotem”, wyliczającego dobre skutki, jakie ma mieć Zlot; z treścią artykułiku zupełnie się zgadzamy, tembardziej że są to tylko przewidywania, a nie ocena. Następnie w dłuższym art. dh S. pisze o pewnym upadku cnót harcerskich w obecnym czasie i o środkach naprawy położenia, twierdząc, iż trzeba powrócić na stare drogi. Jest to ogólnikowe i niejasne, lecz, niestety, autor się nie tłumaczy. Dalej następuje „Niesamowita Gawęda”, pióra J. T., w formie oderwanych prawie, choć pozornie tworzących całość uwag podająca niejedną sympatyczną uwagę. „Szumiący Dąb” — Dh. Przewodniczący — gawędzi na całej półtołej stronie, zaznajamiając czytelników z treścią podobno b. ciekawej pracy, — dziennika, w ciągu 2 lat prowadzonego — nadesłanej mu przez nieznanego druha z głuchej prowincji. Odsyłamy czytelnika do artykułu, bo trudno go streścić z powodu tego, że zawiera sam faktyczny materiał.

„Sienkiewicz, jako wychowawca” — kończy szereg własnych prac; zawiera za mało materiału, wobec czego nie przedstawia większej wartości i rozmiarami zresztą jest zbyt szczupły. Dwa tłómaczone artykuły, oraz kronika pism i życia harcerskiego kończą numer. „Zlot” — jednodniówka Chorągwi Warszawskiej ZHP, razi swą nikłą treścią, zaledwie wypełniającą cztery strony niewielkiego formatu. 2 inne strony świecą nieskalaną drukarnią białością, a jeszcze dwie zawierają ogłoszenia. Wszystko razem ma bardzo mało wspólnego ze Zlotem i wobec tego nie usprawiedliwia wydawnictwa, nie mówiąc o tem, że stwarza dziwne wrażenie o silach literackich i stopniu zainteresowania się zlotem Chorągwi Warszawskiej. Dwa następne pisma: Kaliski „Głos Harcerza” i Nowogrodzkie „Nasze Życie” wcale się o zlocie nie odezwały, a więc mówimy o nich w tej rubryce tylko dlatego, że należą do pism, na Zlocie rozpoznanych. Pierwszy nie jest głośniejszy ani też słabszy od wielu pism harcerskich lokalnych, lecz mamy tu za złe, że w treści jest za mało lokalny. Nie zawiera, np. prawie wcale kroniki życia harcerskiego w Kaliszu i okolicy, ani opisów jakichkolwiek na tym terenie wypadków, z harcerstwem związanych. Czyżby był tak bardzo oderwany od swego gruntu? Na wyróżnienie zasługuje artykuł techniczny p. t. „Topograf mówi”, podający dla każdego harcerza potrzebne wiadomości. Przechodzimy z kolei do „Naszego Życia”. Obecny stan wskazuje na trudne warunki, w jakich Redakcja tego pisma musi pracować. Tem większa jest jej zasługa, że nie opuszcza rąk, i nie traci pewności lepszego jutra dla swego pisma. A to jutro jest nie tylko pożądane, ale i potrzebne ze względu

czysto praktycznych — poprawienia druku, który przez swą niewyraźność (pismo jest hektografowane) przedstawia niemałe trudności dla odczytania, czem napewno niejednego druha zniechęca — polepszenia strony estetycznej wydawnictwa i innych zmian, które, jeśli zostaną wprowadzone, pociągną powiększenie się zainteresowania pismem.

A teraz kilka słów już o wydawnictwie specjalnie Zlotowem, wydanem w Warszawie podczas trwania Zlotu — którym były „Harce”. Rozpoczęły się zawsze kilku słowami o treści odpowiedniej, o nucie wysoko nastrojonej — „o szlachetnym współzawodnictwie”, „o społeczeństwie i harcerstwie”, „o znaczeniu Zlotu” i tp. a kończyły się kolejnym rozkazem Komendy Zlotu. We środku zaś znajdowały się rozmaite kawały i kawałeczki, oraz informacje aktualne, lub też produkty obserwacji. Pod adresem tego właśnie materiału trzeba powiedzieć, że fatalne jego rozlokowanie, wespół z niepotrzebnym podkreślaniami przez tłusty druk miejsc zgola na to nie zasługujących, bardzo utrudniały zorientowanie się w tym materiale; w rezultacie, aby znaleźć coś potrzebnego, trzeba było koniecznie przeczytać wszystko. Przytem, oddzielne wzmianki zupełnie się nie wyróżniały od podkreślonych części jednego i tegoż samego artykułu i na odwrót, — artykuły wyglądały, jak szereg luźnych informacji. Poza tem, lekki, żartobliwy ton, dowcipne uwagi i komiczne oświetlenie całości zasługują na pochwały, chociaż widzielibyśmy chętnie obok żartów i podkreślanie dodatnich stron i zjawisk życia obozowego a informację nie mianującą czarnego białem, jak to się „Harcom” parę razy przydarzyło.

Z okazji Zlotu wyszedł 6—7 nr.

Harcmistrza, powiększony do 20 stron. Zawiera dużo cennych myśli. Podnosi się znaczenie idei braterstwa, przekłada się z zagranicznej literatury artykuły o roli starszej młodzieży w harcerstwie podaje się referaty o naszej starszyźnie męskiej i żeńskiej wygłoszone na ostatnim Walnym Zjeździe. W rubryce „... i Redaktor także...” znajdujemy b. trafną uwagę, dotyczącą rozpraszenia naszych wysiłków w pracy nad pismami harc., których jest wiele, z których żadno zato nie wznosi się na wyższy poziom. Byliśmy zawsze tego zdania, że lepsze pismo jedno — a dobre, niż dziesięć ładajkich, sądzymy, że pismo mające największe szanse winno być popierane przez wszystkich, aby rzeczywiście dobrem się stało. Ciekawe i pożyteczne są rozważania na temat społecznych zadań obozów, praktyczne są wskazówki o lekkiej atletyce w drużynach i informacje o harc. polskiem zagranicą czy o obozach w r. 1923. Kronika obfita, choć nieco bezładna.

Niekorzystnie odbija się na wartości Harcmistrza zbyt małe grono jego współpracowników. Redaktor zmuszony jest zbyt często zabierać głos, tem też zapewne tłumaczyć należy ustawicznie zmieniający się rozmiar i zupełną niewspółmierność wartości poszczególnych numerów. Hej! druhowie! Czy nie chcecie poważnie myśleć i myślami swymi dzielić się z swymi braćmi? Czemu Was brak?

Mamy też prośbę pod adresem Redakcji: czyby to się nie dało zrobić, aby Wiadomości Urzędowe znalazły się zawsze na końcu numeru, a nie w środku, choćby kosztem okładki, która przecież wcale tak potrzebną nie jest, skoro ogłoszeń na niej niema.



Drapieżny Kret.

Zbierajcie rośliny lecznicze!

W niniejszym numerze chciałem „amatorom” roślin leczniczych zrobić nową przyjemność przez podanie cen roślin bieżących (t. j. tych, które obecnie mają porę zbioru); lecz na razie się to nie udało. Wybrałszy się bowiem do filji Poznańskiej „Planty” przy ul. Stromej l. 24, by o tem się poinformować, zastałem jej drzwi i okna „zabite na śmierć”. Otóż podajemy do ogólnej wiadomości, że filja „Planty” w Poznaniu została zwinięta i przeniesiona podobno do Torunia (czego jeszcze osobiście nie stwierdziłem).

Znowu użyczam paru wskazówek. Po stwierdzeniu więc naukowem danej rośliny leczniczej należy przystąpić do zbioru. Aby towar wyszedł solidny i pokupny trzeba pamiętać:

1. Że zbierać należy rośliny czy ich części zupełnie zdrowe t. j. bez żadnych plam, zniekształceń, uszkodzeń i t. p.

2. Że zbierać można tylko w porze suchej i ciepłej. Wykluczoną jest przeto pora ranna czy wieczorna z rosą czy mgłą, wykluczone pory deszczowe i okres podeszczowy aż do zupełnego oschnięcia roślin.

3. Że suszyć należy, przeważną część roślin w cieniu, na suchym i ciepłym poddaszu strychów, stodoł, namiotów, szop i t. p. Nie może tam tylko panować zatechłe powietrze (zrobić przewiew) i zaciekać woda. Jako podścielisko nadaje się czyste płótno, worki, rogoże, plecionki suche, deski suche i heblowane. Suszące się rośliny trzeba delikatnie przewracać, z początku i parę razy na dobę, później coraz rzadziej.

4. Że nie należy samemu uskuteczniać krajania czy rozdrobniania roślin, zbieranych cało (=ziola), bo możemy całą pracę zmarnować, gdyż tylko odpowiednią maszyną da się to dobrze uskutecznić. Lepiej więc zadowolnić się nieco niższą ceną ziół niekrajanych.

Kalendarz lipcowy zbioru (ważniejszych roślin) jest następujący:

Zbierać kwiaty:

Bzu czarnego = bzuwiny (*Sambucus nigra*)
 Chabru = bławatu polnego (*Centaurea cyanus*)
 Dziewanny lekarskiej (*Verbascum thapsus*)
 Jasnoty białej (*Lamium album*)
 Krwawnika (*Achillea millefolium*)
 Lewandy prawdziwej (*Lavandula vera*)
 Lipy (*Tilia*)

Ślazu leśnego (*Malva silvestris*)
 Rumianku rzymsk. (*Anthemis nobilis*)
 „ zwycz. (*Matricaria Chamomilla*)
 Pomornika górskiego (*Arnica montana*)

Zbierać liście:

Bielunia = dedery (*Datura stramonium*)
 Lulka czarnego (*Hyoscyamus niger*)
 Mięty kędzierzawej (*Mentha crispata*)
 „ pieprzowej (*Mentha piperita*)
 Naparstnicy lekarskiej (*Digitalis purpurea*)
 Orzecha włoskiego (*Juglans regia*)
 Podbiału zwycz. (*Tussilago farfara*)
 Pokrzywy leśnej = Wilczej jagody (*Atropa Belladonna*)

Pokrzywy zwycz. (*Urtica dioica*)
 Rojownika lekarsk. Melisy (*Melissa officinalis*)
 Ślazu leśnego (*Malva silvestris*)
 Ślazu pospolitego (*Malva neglecta*)
 „ lekarskiego (*Althaea officinalis*)
 Bóbrka trójlistnego (*Menyanthes trifoliata*)
 Szalwii lekarsk. (*Salvia officinalis*)

Zbierać zioła:

Bratków polnych = Fiołków trójbarw. (*Viola tricolor*)
 Czubka benedyktyńskiego = Drapacza benedyk. (*Cnicus benedictus*)
 Komosy meksyk. (*Chenopodium ombrosioides*)
 Macierzanki pospolit. (*Thymus serpyllum*)
 Nostrzyku (zółtego) lek. (*Melilotus officinalis*)
 Poloniczniku gładkiego (*Herniaria glabra*)
 Rdestu ptasiego (*Polygonum aviculare*)
 Piołunu (*Artemisia absinthium*)
 Tysiącznika zwyczajn. (*Erythraea centaurium*)
 Tymianku (*Thymus vulgaris*)

Zbierać nasiona:

Gorzycy białej (*Sinapis alba*)
 „ czarnej (*Brassica nigra*)
 Koprzu włoskiego (*Foeniculum capillaceum*)
 Karolku = kminku (*Carum carvi*)
 Kolędry siewnej (*Coriandrum sativum*)
 Anyżu (*Pimpinella anisum*)

Zbierać: Sporysz (*Secale cornutum*):

Są to jakoby fioletowo-czarne różki, sterczące z dojrzewających kłosów żyta w miejscu ziarn. Jest to grzyb lekarski o cenie b. wysokiej (w Ameryce 1 kg — do 10 dolarów). Zmielony, jest w mące truczyną bardzo niebezpieczną, w większej ilości spożyty może wywołać nawet śmierć.

W JAPONJI.

Gdy we Władywostoku siedliśmy na okręt japoński, na pokładzie było gwarno, wszędzie widziało się uśmiechnięte twarze chłopców i dziewczynek, bo cieszyliśmy się, że niezadługo ujrzemy przecudną Japonję. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy, kiedy dadzą znać, że statek wyruszy. Na przystani było dużo publiczności, która nas żegnała. Byli tam wszyscy

nasi z Komitetu Ratunkowego, było dużo Japończyków i Japoniek, a nawet konsul japoński przyjechał nas odprawić i rozmawiał z nami i naszą przełożoną — panią Budzińską.

Wtem usłyszeliśmy gwizdek, statek powoli odbija od brzegu, a śpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła” rozbrzmiewa po pokładzie.

Płynęliśmy na wschód, wzdłuż brzegu, który coraz bardziej osłaniał się mgłą i rozpywał w ciemności, nagle znalazł się

zupelnie z morzem, niebem i nocą — i zniknął... Chwilami tylko polyskiwały czerwone i zielone światła latarni, które robiły wrażenie światła zawieszonych w powietrzu, wreszcie i one znikły; naokoło białaly tylko zapienione szeregi grzbietów fal idących jedna za drugą. Po dwudniowej podróży po morzu japońskim, bardzo burliwym, ujrzeliśmy wreszcie na horyzoncie ziemię... Najwiew wyglądała jak ciemno-błękitna smuga, która stawała się coraz większą, aż ukazały się nam piękne góry, śliczne zatoki i zaczęliśmy spotykać dużo żaglowych łodzi rybackich, które sieciami łowiły ryby w morzu. W końcu nasz okręt zarzucił niedaleko od brzegu kotwicę i potężnym gwizdaniem oznajmił miastu swoje przybycie. Spuszczono łodzie, wsiadliśmy i ze śpiewem „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród” dobiliśmy do brzegu. Było to miasto japońskie Curuga. Musieliśmy tam czekać kilka godzin, bo pociągu, który miał nas zawieźć do Tokio jeszcze nie było. Gdy wsiadliśmy na brzeg, Japończycy nas mile przywitani, nakarmili, a później wesoło z nami się zabawiali. Ze smutkiem żegnali nas, gdyśmy opuścili Curugę.

Nasz pociąg mknął przez łąki, pola, ogrody, osady i wsie japońskie. Wszędzie widziało się na polach rosnący ryż, tak jak u nas w Polsce zboże. Jechaliśmy z Curugi do Tokio całą noc do ósmej rano. W nocy na każdej stacji było pełno Japończyków, okna w wagonach były ciągle otwarte oni zaś nie odstępowali od nich, podając różne lakoce i zabawki; tak było na każdej prawie stacji. O ósmej jak wspominałam przyjechaliśmy do Tokio. Na stacji ujrzeliśmy na peronie naszą panią Annę Bielkiewiczową i dookoła niej dużo Japończyków, którzy nas serdecznie przywitani. Wyskoczyliśmy z pociągu do pani Anny, po przywitaniu rozpytywaliśmy się co

z nami będzie dalej, dokąd pojedziemy, gdzie będziemy mieszkać, co będziemy jeść: czy japońskie czy nasze potrawy. Wielu Japończyków robiło różne zdjęcia. To fotografowanie trwało do pół do dziesiątej. Potem zaprowadzono nas do przystanków tramwajowych. Jechaliśmy przez miasto, na ulicach czysto, budynki maleńkie z papieru. Japonki z dziećmi

na plecach, Japończycy w kimonach... Tak zapatrzeni na to wszystko nie spostrzeżliśmy jak przyjechaliśmy na miejsce. Musieliśmy jeszcze przejść wąską uliczkę, więc szliśmy parami; prowadził nas Japończyk imieniem Osawa. Z budynków powychodziły kobiety z dziećmi. Szliśmy z wesołymi minami, ciekawie przypatrując się japońskim dzieciom. Zamieszkaliśmy w jednej z dzielnic Tokio, Fukudenkai. Było tam kilkanaście bu-

dynków, połowę zajmowali my, a drugą połowę sieroty japońskie. Większa część budynków była zbudowana z cienkiego drzewa. Podłoga nie taka jaką my mamy: wszędzie były rozłożone maty, drzwi były papierowe. W Japonji jest przyjęte, że gdy się wchodzi do budynków, należy zdjąć trzewiki i iść w pończochach. Stoły i stołki w jadalniach są niziutkie. Na śniadanie, obiad i kolację najlepszą potrawą jest ryż i drobny zielony groszek. Japończycy używają do jedzenia dwóch pałeczek, które służą im za łyżki. Łóżek nie mają, śpią na matach. Japonki kładą pod szyję twarde poduszki ażeby ich fryzura się nie popsula, bo czeszą się raz na kilka dni. W każdej sypialni wisi siatka ażeby w nocy nie kąsały komary i moskity. W przeciągu dwóch tygodni Japończycy dali nam kimona i japońskie treпки i zaraz sfotografowali nas w tych strojach. Co niedzielę, a nawet i w dniu powszednie urządzaliśmy wycieczki do parków, świątyni, muzeów, zwierzyńca, a wszędzie z radością nas witano, a ze smutkiem żegnano. Co święto chodziliśmy na mszę świętą do kościoła katolickiego. Gdy które z nas zachorowało zaraz oddawano do szpitala. Japońskie siostry miłosierdzia troskliwie nas pielęgnowały, spełniając każdą zachciankę chorego. Porozumiewaliśmy się z nimi

za pomocą słownika japońsko-rosyjskiego, a kilka rozumiało nawet rosyjski język więc mówili z nami po rosyjsku.

Prędko przeminęły długie miesiące pobytu naszego w Japonji, zbliżały się dni wyjazdu do Ameryki. Przez ten czas bardzo zaprzyjaźniliśmy się z japońskimi dziećmi, które przychodziły do nas. My ich uczyliśmy polskich śpiewów, a one nas japońskich. Najpierw nauczyliśmy ich „Jeszcze Polska nie zginęła”, potem „Jak to na wojence ładnie” i „Z dymem pożarów”. Dzieci japońskie nauczyły się nawet „Roty”, którą



Dzieci z Syberji w sierocińcu pod opieką p. Miecznikowskiej, przyboocznej d-ny harc. we Władywostoku.



R. Watanabe, japoński konsul we Władywostoku.

śpiewały razem z gimnastycznymi ćwiczeniami, których nauczyliśmy się w drużynie harcerskiej. Japończycy najpierw nauczyli nas hymnu „Kimi-Gajowa” a potem innych. Przez ostatnie dni pakowaliśmy się do podróży. Całymi dniami pełno było Japończyków, którzy z nami żegnali się, dając na pamiątkę nam fotografie, pocztówki i adresy prosząc żeby do nich pisać. Ze wszechstronrozbrzmiewał hymn japoński i „Jeszcze Polska nie zginęła”. Japońskie dzieci patrzyły na nas ze smutkiem że je opuszczamy.

Gdy wyruszyliśmy z zakładu, w oczach japońskich dzieci, a nawet u ich wychowawczyń i wychowawców świeciły łzy. Na pokładzie powstał gwar, Japończycy żegnali nas jeszcze raz. Gwizdek... pomost wciągnięto. Zaczęła grać orkiestra, my staliśmy na pokładzie, w rękach trzyma-

liśmy różne kolorowe wstążki i rzucaliśmy je na przystań gdzie łapali je Japończycy. Najwięcej wstążek trzymała pani Bielikiewiczowa i gdy okręt ruszył szła po przystań obok okrętu. Rzucaliśmy jeszcze ostatnie wstążki Japończykom. Orkiestra coraz głośniej grała i wreszcie statek powoli odbił od brzegu. Wstążki ciągnęte przez nas porozrywały się. Wnet wszystko znikło, wypłynęliśmy na ocean. Wieczór był prześliczny, zachodzące słońce rzucało ostatnie blaski na ocean. Na drugi dzień rano wybiegliśmy na pokład. Ocean był spokojny. Dopiero w południe zaczął się burzyć, więc po kolei uciekliśmy do kajut, pozostali wytrwali i bardziej żądni wrażeń. W czasie podróży widzieliśmy wieloryby i wiele rozmaitych ogromnych ryb. Jechaliśmy już tak bez żadnej zmiany drugi tydzień, ciągle wypatrując na tablicy kiedy przybijemy do brzegu. Rano 12 października dowiedzieliśmy się z tablicy, że nastąpi to dziś. Na całym okręcie zapanowała radość. Jakoż wszystkie zwiastowało bliskość ziemi. Matki ubraли czyste kaftany, cały okręt wyszorowano, każda jego śrubka błyszczała w słońcu jak złoto. W powietrzu unosiły się całe stada mew piszczących. Spotykaliśmy coraz więcej okrętów, wielkie parowce, statki żaglowe, łodzie rybackie przesuwały się po cichej i przezroczystej tafli wód, odbijając się w niej jak w zwierciadle. Wiatr, który dał na oceanie uciuchł zupełnie. Powietrze gorące, spokojne i słodkie rozlana wokół. Nakoniec na zachodnim krańcu widnokręgu ukazała się wydłu-

żona czarna chmurka. Wszyscy zawołaliśmy: Ziemia! Ziemia! Jakoż po krótkiej chwili, na tle owej chmurki poczęły się rysować piaszczyste wybrzeże, lasy masztów, dalej śpiczaste wieże kościelne, dachy domów, białe mury — słowem coraz dokładniej widać port „Victoria”, do którego podchodził nasz okręt. Na przystani, gdzie było dużo nieznanym Anglików i Amerykanów

ujrzelśmy pana doktora Jakób-kiewiczza, który natychmiast wszedł do nas na okręt i potem zaprowadził nas po kolei do amerykańskich urzędników udzielających pozwolenia na wyładowanie na ziemię amerykańską Tymczasem podjechaliśmy do portu amerykańskiego Seattle. Na prawie gładkiej powierzchni zatoki czerwone beczi oznaczające mielizny kołysały się poruszane ruchem wody i powiewem wia-

tru. Nasz okręt wywiesił flagę amerykańską i japońską, po czym zwołił bieg i zaledwie sunął lekko. Gdy wypłynęliśmy do portu, czekała nas tam miła niespodzianka, a mianowicie: na spotkanie nasze wyszły dzieci polskie w strojach polskich z amerykańskimi chorągiewkami, na czele których szła dziewczynka ubrana w strój amerykański i chłopczyk również ubrany w strój amerykański.

Chłopczyk miał siwą brodę, wasy, a na głowie perukę. Po spuszczonej pomocy zeszliśmy z okrętu i wtedy nastąpiły powitania z rodzakami. Razem z nimi poszliśmy do automobili, których było tak dużo że wszystkie dzieci mogły się pomieścić. Pojechaliśmy do Polskiego Domu w Seattle. Po kwadransie byliśmy na miejscu. Właśnie czekano nas z obiadem. Po obiedzie bawiliśmy się w Polskim Domu do wieczora. O godzinie dziewiątej zaprowadzili nas do wagonów gdzie położyliśmy się spać w czystych i miękkich łóżkach; prędko zasnęliśmy zapominając, że jesteśmy w podróży. Nazajutrz rano nasz pociąg mknął przez lasy i pola, ogrody i wsie cztery dni, na piąty dzień rano przyjechaliśmy do Chicago. W Chicago umieszczono nas w polskim zakładzie św. Jadwigi, gdzie kierownikiem był Wielebny ks. Franciszek Rusch, pomocnikiem jego Wielebny ks. Tomasz Smyk, a wychowawczyniami Wielebne Siostry Felicjanki. Serdecznie i miło nas tam powitano. Dzieci w tym zakładzie było przeszło 700. Prędko zaznajomiliśmy się z nimi. Dnie mijały bardzo prędko pozostawiając po sobie

przez lasy i pola, ogrody i wsie cztery dni, na piąty dzień rano przyjechaliśmy do Chicago. W Chicago umieszczono nas w polskim zakładzie św. Jadwigi, gdzie kierownikiem był Wielebny ks. Franciszek Rusch, pomocnikiem jego Wielebny ks. Tomasz Smyk, a wychowawczyniami Wielebne Siostry Felicjanki. Serdecznie i miło nas tam powitano. Dzieci w tym zakładzie było przeszło 700. Prędko zaznajomiliśmy się z nimi. Dnie mijały bardzo prędko pozostawiając po sobie



Młodzież japońska pokazuje dzieciom polskim Tokio wożąc je tramwajami.



Chore dzieci w szpitalu Japońskiego Czerwonego Krzyża w Tokio.

mile wspomnienia. W Ameryce byliśmy rok i trzy miesiące. Ciągle jednak oczekiwaliśmy, kiedy nadejdzie ów upragniony dzień powrotu do Polski.

I oto nadszedł dzień 27 stycznia. Siostry i Wielebni

Ojczulkowie bardzo żalowali nas i radzili nam zostać, lecz zaledwie kilka zostało. Przyjechaliśmy okrętem „Princessa Matojka” do Polski i obecnie uczymy się w Seminarjum Nauczycielskim w Wejherowie.

M. Wasilewska.



Pożegnanie dzieci japońskich z polskimi.

Zegary, które chodzą 1000 lat.

Świeże wynalazki na polu zegarmistrzostwa elektrycznego, dążą do uwolnieniu nas od troski naprawiania naszych zegarów. Nad rozwiązaniem tego problemu myślano już od kilkudziesięciu lat. W r. 1840 pierwszy Bain skonstruował zegar, poruszany przez elektromagnes. Po nim liczni wynalazcy jak Liais, Verité, Paul Garnier wymyślali przeróżne systemy zegarów elektrycznych, dających się jednak sprowadzić do dwóch typów ogólnych. W okresie większej twórczości weszło zegarmistrzostwo elektryczne, kiedy postanowiono zużyć prąd elektryczny do podtrzymania wychyleń wahadła. Mechanizmy pomocnicze, prócz źródła energii, powodującego przesunięcia wskazówek i wahadła, okazały się odtąd niepotrzebne. Poruszanie mechanizmu kółkowego odbywało się już nie jak w zegarze mechanicznym, przy pomocy ciężaru lub sprężyny, lecz przy pomocy elektromagnesu. Elektromagnes udzielał zarazem wahadłu pewnych impulsów, podtrzymujących jego wahanie. Okazało się jednak, że zegary elektromagnetyczne nie są zbyt praktyczne. Częste przerywanie obwodu elektrycznego wywoływało przeskok iskry, która uszkadzała kontakt elektryczny. Starano się w najrozmaitsze sposoby zapobiec tym przeszkodom. Pierwszy Foucault w r. 1860 wynalazł dobrze obmyślany kontakt, który, spopularyzowany przez zegarmistrza szwajcarskiego Hippa, osłabiał wpływ nieregularnych wychyleń. Ulepszenie polegało na tem, że podtrzymywanie wahań odbywało się do-

piero w chwili słabnięcia wychyleń. Pomimo oryginalności zegar Hippa wyszedł z użytku, ponieważ ogniwo znajdujące się w obwodzie, zużywało się zbyt szybko.

Lecz w r. 1901, fizyk francuski Charles Féry zbudował nowy zegar elektromagnetyczny. Składa się on z magnesu podkowiastego, zmieniającego stale miejsce w stosunku do cewki, włączonej w obwód elektryczny, składający się ze stosu Wolty i z przerywacza. Wahadło zaś automatycznie okręca jego dźwignię w ten sposób, aby przerwać prąd w ciągu bardzo krótkiego czasu, ile razy wahadło przechodzi przez prostopadłą wahanie. Dzięki temu połączeniu otrzymuje wahadło impulsy, które podtrzymują wahanie w sposób stały. Z drugiej strony podtrzymuje wahadło mechanizm skazówkowy, przy pomocy wychwyty, który sprawia przesuwanie się koła zębatego o jeden ząb, przy każdym wychyleniu wahadła. Te przeróżne kółka, które obracają się swobodnie, a nie jak w zegarze mechanicznym przy pomocy sprężyn, albo ciężarków, zużywają mało energii.

Od tego czasu zegarmistrzostwo elektryczne zaczyna budować swoje własne podstawy naukowe, na których już opierał się system Féry'ego. Wszyscy zaś następcy naśladowują go mniej lub więcej.

Dopiero na ostatnim kongresie zegarmistrzowskim w Paryżu (22—27 października 1923 roku) M. Marius Lavet przedstawił bardzo ciekawe zegary elektryczne, które teoretycznie chodzić mogą 1000 lat.

Demonstracyjne przyrządy Lavet'a (jedynie dotąd zbudowane) polegały na tej samej głównej zasadzie, co zegary Fery'ego. Różniły się tylko drobnymi poprawkami w konstrukcji, które miały na celu zmniejszenie natężenia prądu elektrycznego i uniknięcie uszkodzenia przerywacza i ogniwa. Zegary Lavet'a, jak już zaznaczyliśmy wyżej, mogą chodzić bez jakiegokolwiek interwencji 1000 lat. Wystarczy bowiem włączyć w obwód ogniwo Leclanche'a. Ogniwo takie, na podstawie obliczeń, może dostarczyć do 100 woltów, czyli energii, wystarczającej do poruszania zegara Lavet'a przez przeciąg 10 stuleci. Oczywiście, że źródło tej energii, ogniwo Leclanche'a, straciłoby w ciągu tych 1000 lat na sile, z powodu parowania płynu i reakcji che-

micznych. Zapobiegł temu nowowynaleziony stos Fery'ego, który, nie zużywając się wcale, pozwala wprawić wahadło w ruch stały i prawie nieograniczony. Jediną przeszkodą zrealizowania konstrukcji zegarów, chodzących 1000 lat, byłoby zużycie się z biegiem czasu mechanizmu kółkowego. Zresztą wynalazca podaje dlatego liczbę 1000 lat, ażeby podkreślić, jak mało zużywa się prądu na utrzymanie wahań w zegarze elektrycznym własnej konstrukcji, w stosunku do skomplikowanych wynalazków Berthrouda, Brequet'a, Leroy'a i innych sławnych zegarmistrzów.

(„La Nature” Jacques Boyer)

Przekł. I. K.

Wśród książek.

Od początku roku bieżącego wychodzi w Cieszynie nakładem księgarni B. Kotuli czasopismo, które powinno w szczupłym gronie polskich pism przyrodniczych zająć nie ostatnie miejsce. Jest to „Przyrodnik”, miesięcznik, zakrojony na większą skalę, a usiłujący stanąć na poziomie odpowiednich wydawnictw zagranicznych. Celem jego jest „budzenie zamiłowania do badań przyrodniczych w najszerszym znaczeniu tego słowa”, jak czytamy w przedmowie do pierwszego tomu. Dalej nieco czytamy:

„Przyrodnik” jest dla młodzieży przeznaczony i ma dawać różne wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych, więc z zoologii, z botaniki, z mineralogii, z fizyki i t. d. Chcemy naszych młodych przyjaciół zapoznać bliżej ze wszystkim i dać im równocześnie godziwą rozrywkę.”

Takie były zapowiedzi. Trzeba przyznać, że wydawnictwo nie zawiodło. Dotychczas otrzymaliśmy 5 zeszytów (ostatni majowy, które ogółem liczą już 240 stron i zawierają cały szereg poważnych (czy nawet nie zanadto poważnych czasem!) artykułów. Nie potrzebujemy w nich przebieierać, aby dać czytelnikowi pojęcie o charakterze pisma. Ograniczymy się, nie wchodząc w fachową ocenę, do podania treści dowolnych N. N. pisma, n. p. 2-go i 5-go. A więc, 2 twórcy:

„O mikrofaunie słów kilka” t. j. o drobnych, mikroskopijnych żyjątkach, „Nasi goście zimowi” — z siedmioma rysunkami, „Drobnowidz, czyli mikroskop”, zasada budowy, z sześcioma rysunkami, „Nad Wigrami” — cz. II, życie w śródziemiu (z przerażającą ilością, — bo aż 127 nazwami łacińskimi!), „Fabryka cementu w Golezowie na Śląsku Cieszyńskim”, „Miłość pszczoł do matki”, początek artykułu, „Dookoła Tatry”, z mapą, i pięknymi ilustracjami, wreszcie „Drobne wiadomości”.

W nrze 5 znajdujemy: „Wycieczka na kaszubski brzeg”, (początek w 3 nrze), „O hodowli płazów i gadów w pokoju”, „Samodzielne sporządzanie wag i odważników”, „Kącik entomologiczny (Kalendarzyk na maj), to znaczy o owadach, „Radjotelegraf i radjotelefon” — początek, jak widać, obszernego artykułu, wreszcie „Lupa czasopiśmienna Ernemanna” — o pewnym udoskonaleniu aparatu dla zdjęć kinematograficznych, i „Wiadomości bieżące”.

Jak widzicie, czytelniku, macie czasopismo bardzo poważne i godne poparcia. Skromna i solidna szata, dobry papier i reprodukcje, składają się na b. miłe wrażenie i pod względem strony zewnętrznej wydawnictwa, co zaś do barwnych ilustracji, które znajdujemy w każdym nrze, powiedzielibyśmy, że są nawet zbyt liczne, bo ustępują fotografiom, i aby stanąć na wysokości, nie pozwalającej na zarzuty, wymagają bardzo dobrego wykonania. Również, możnaby bez szkody dla wyglądu pisma usunąć winjety z okładek, lub też wprowadzić stałą, lecz są to, oczywiście, rzeczy podrzędne. Nasuwa się natomiast pytanie, czy pismo o tak obfitym, szczegółowym faktycznym materiale, potrafi zyskać czytelników wśród młodziej dziatwy szkolnej — bo kogoż nie nastraszy 127 nazw łacińskich, i to tłusto wydrukowanych na jakichś 5-6 stronach — lecz odpowiedź na to pytanie pozostawiamy przyszłości.

a czytelnikom Czuj Ducha, interesującym się przyrodą, radzimy zaprenumerować „Przyrodnika”. Adres Admin.: Księgarnia nakładowa B. Kotuli w Cieszynie, ul. Głęboka. Prenumerata półroczna wynosi 6 złotych.

Nakładem tejże księgarni wyszła z druku biblioteczka techniczna dla samouków lub amatorów, zawierająca długi szereg drobnych podręczników, bardzo starannie wydanych. Przed nami leżą N. N. 45-60, ogólna ilość sięga do 70. Nie wiemy, czy wszystkie trafiają do celu t. j. nauczają zaradzić samemu, bo z pewnością, np. windę elektryczną nie tak łatwo sporządzić, jeśli się nawet zna zasady jej budowy; to samo da się prawdopodobnie powiedzieć o lunecie, mikroskopie itp.; lecz ogółem biorąc, nazwana biblioteczka zawiera mnóstwo pożytecznych dla harcerza książek jak np.:

Tokarka, Roboty kartonowe, Budowa terrarium, Piłka (laubsega), Saneczki sterowe, Instalacja i sporządzanie dzwonek, Przeróbka i obróbka szkła, Ładowanie akumulatorów prądem miejskim, Telegraf wskazówkowy, Zbieranie, suszenie, przechowywanie roślin, Urządzenie pracowni chemicznej przy pomocy środków prostych, Pantograf, przyrząd do powiększania i przerysowywania rysunków i t. d.

Nie mówimy już o tem, że i z innych, o bardziej skomplikowanych aparatach traktujących, można jeśli nie skorzystać praktycznie, to się przynajmniej dowiedzieć o budowie i konstrukcji wielu używanych w technice i nauce przyrządów. Wszystkie, oczywiście, książeczki są zaopatrzone w potrzebną ilość rysunków i schematów.

Tęgoż rodzaju, lecz obszerniejsze dziełka składają się na t. zw. „Ilustrowaną Bibliotekę dla młodzieży”. Są to akuratnie wydane książki, zaopatrzone w grubszą okładkę, które przez znacznie większy rozmiar pozwalają temat traktować bardziej wyczerpująco. Stroną zewnętrzną przypominają analogiczne wydawnictwa niemieckie a samoukom potrafią z pewnością oddać niejedną cenną usługę. Zamówienia należy skierowywać do księgarni B. Kotuli, Cieszyn, ul. Głęboka.

J. I.

Stanisław Gibess: Obozownictwo. Warszawa, (1924). Polska składnica pomocy szkolnych, Biblioteczka harcerska nr. 1, str. 180, rysunków 88.

Książka ta nie jest wyłącznie podręcznikiem technicznym, choć przeważnie około prac technicznych się obraca. Znajdziemy w niej wiele uwag natury wychowawczej i metodycznej. Szczególnie cenną za pośrednictwem jest rada, aby wszelkie ograniczenia i kłopoty swobody uczestników obozów ograniczyć do minimum.

Sporo tu rad nowych, czasem aż niezwykłych, a jednak budzących ufność. N. p. czytamy o zastosowaniu „ródzki czarodziejskiej” w wyszukiwaniu wody pod ziemią; czytamy, że w czasie wojny światowej stwierdzono, że nie jest to bynajmniej bajda, ale faktycznie jakaś siła w rodzaju sił, stwierdzanych np. w magnetyzmie, a bliżej nie znanych. Poza to nie brak tu żadnej informacji potrzebnej kierownikowi czy uczestnikowi obozu, wskutek czego książka jest nader pożyteczną lekturą dla jednych i drugich.



Czy zauważyłeś, co się dzieje na wsi?

Ciepła, ale aż nazbyt mokra była wiosna, toteż mimo, że późno się zaczęła, jednak dogoniła, co się opóźniło, a nawet zboża tak wybujały, że ich moc wyległo, zwłaszcza pszenicę, gdyż te najbardziej do tego są skłonne. Może zadowolony z tego będzie drób, bo przy młocce dużo będzie poślądów, ale pewnie martwi się rolnik, bo i ziarno będzie gorsze i kośba trudna, a już ze żniwiarką nieraz zupełnie wjechać się nie da. Wykłosiły się też jęczmiona i owsy, a i te miejscami się pokładły, co tem gorsze, że nie wszędzie jeszcze przekwitły. Mimo to nie można pewnie będzie narzekać tego roku na nieurodzaje. Żyta najgorzej dopisały, ale temu winno to, że bardzo ucierpiały od zimy. A jakie są twoje obserwacje? Czy w twych stronach też taki był przebieg pogody i taki sam stan pól?

Główne roboty w polu rolnik pokonczył. Większość ziemniaków już kwitnie, więc się w nich nie da już robić. Tylko późniejsze jeszcze dają się okopywać i radlić. Także w burakach i marchwi przy częstych deszczach trudna walka z chwastami. Siana i koniczyny przeważnie przy dobrej pogodzie zebrano i nastał dla człowieka i dla konia krótki czas odetchnienia przed żniwami. A blisko one już! Nie upłynie tydzień, a trzeba będzie wejść w żyta z kosą. Potem czas na pszenicę, wreszcie na jęczmiona, w końcu na owsy. Kto uprawia rzepak, ten sprzątnął go już, a przygotowuje pole do siewu na przyszłoroczny zbiór. Gdzie udał się jęczmień ozimy, tam żniwa już rozpoczynają od niego.

Czy zauważyłeś, jaki jest kłopot z chwastami? Żółcą się pola od ognichy i jej brata pszonaku, pełno maków, blawatów i kaskole zakwitły, a osty też zaczynają. Na miedzach i rowach kwitnie krwawnik, przelot czyli welnica, cieciora, świerzbica, pszeniec, lnica, śláz, pokrzywa, lopian, powój, podróznik, różne rodzaje dzwonek. Przekwitły storczyki, są jeszcze taszniki, babki, rumianki, wyczki, czasem jaskry i t. d. Pewnie wiele jeszcze sam potrafisz wyliczyć.

Nie słyhać już słowika, ale wilga woła wytrwale swoje „Zofija”, albo chwali się „miał mój ojciec koloniją”.

W lasach jeszcze czas zbierać poziomki, a borówek czyli czarnych jagód moc. Maliny też się zaczynają. W ogrodach warzywnych kwitną ogórki, zaczynają też pomidory i słoneczniki, kukurydza się kłosi, kapusta tworzy główki. Kwitną fasole i grochy, a nawet możesz już zielony groszek zbierać. W sadach minęły truskawki, kończą się czereśnie, teraz czas porzeczek i malin, a dojrzewają agresty. Wkrótce przyjdzie czas pierwszych gruszek. W ogrodach kwitną lipy i roje pszczoł w nich brzęczą, a od róż i gwoździków aż się roi i pachnie. W tym czasie wypada szczepić róże i bzy. Zaczynają już nawet miejscami kwitnąć georginie, choć to kwiat jesieni. Widać, że do niej nie daleko.

Pod Krakowem, 8. lipca.

Zbigniew Trylski.

Ze Sportu.

Z Olimpiady.

Oficjalne otwarcie Igrzysk Olimpijskich nastąpiło dnia 6. b. m. W turnieju olimpijskim w walce na florety zwyciężyła Francja bijąc Belgię 13:1. Drugie miejsce zajęła Belgja, trzecie. Węgry, czwarte zaś Włochy, które miały o wiele wyższe aspiracje. W jednostkowych zawodach szermierz polski, Winkler został pokonany czterokrotnie, mianowicie przez przedstawicieli Urugwaju (5:4), Szwajcarii, Austrii i Danji (5:3).

W zawodach w polo konne Stany Zj. zwyciężyły Hiszpanję w stos. 5:3, Argentyna zaś Stany Zj. w stos. 6:5.

W meczu w polo wodne Węgry zwyciężyły Austrię w stos. 4:2. W strzelaniu z pistoletów automatycznych pierwsze miejsce zajęły Stany Zjedn., drugie Francja, trzecie Danja... Polski wcale nie widać. W zawodach dla myśliwych zwyciężyła Norwegja, po której idzie Szwecja i Stany Zjedn. i i., znów nie dochodząc do nas.

W jeździe konnej na przedolimpijskich konkursach w Luccie Polacy zdobyli b. dobre miejsca.

W biegach eliminacyjnych Polacynie utrzymali się. Finał na 800 m. (płaski) 1. Love (Anglja) — 1 m. 52, 2. Martin (Szwajcarya).

W rzucie ciężarem w finale. 1. Houser (St. Zjedn.) 14'995. 2. Hurtrauf (St. Zjedn.)

W skoku w dal w finale: 1. Hubbard (St. Zjedn.) 7'445. 2. Gourdin (St. Zjedn.)

W biegu na 10.000 m. zwyciężył Ritola (Finlandja) 30:23,2. 2. Wide (Szwecja).

Rzut młotem (finał): 1. Tootell (St. Zjedn.) 53:295. 2. Macgrath (St. Zjedn.)

Skok o tyczce (finał): 1. Barns (St. Zjedn.) 3:95, 2. Graham (St. Zjedn.)

Bieg płaski na 5.000 m. (finał): 1. Nurmi Finlandja 14 m. 31 i 1/3 sek. — nowy rekord! 2. Ritola (Finlandja)

Różne.

Mistrzostwo polskie w kolarstwie.

Mistrzostwo Polski w kolarstwie zdobył na rok 1925 p. Jan Łazarski z Krakowa. Dowodzi to zarówno poprawienia się Krakowa jak i zaniedbania stolicy, która dotychczas była niepokonana.

Raid samochodowy.

Dnia 6. b. m. o północy rozpoczął się raid samochodowy na dystansie 2,483 km. Główne etapy stanowią: Warszawa, Zamość, Zakopane, Kraków, Poznań i Puck skąd powrót do Warszawy. Zgłoszono ok. 30 maszyn.

Piłka nożna Prasa—Artysty.

Dnia 5 b. m. rozegrała w stolicy mecz piłki nożnej reprezentacja artystów teatrów stołecznych i prasy z wynikiem 3:2 na korzyść tej ostatniej. Fakt ten powitać należy uznaniem, gdyż dowodzi on rozszerzania się sportu w szerszych warstwach społeczeństwa.

Na złotym wybrzeżu.

I. Opuszczeni w śniegu.

Jak daleko okiem sięgnąć wokół rozciągała się olśniewająca biała śnieżna pustynia; żadne drzewo, żaden krzew drobny nie urozmaicał jednostajności krajobrazu.

Poprzez bezbrzeżną tę przestrzeń szybko sunęły zaprzężone w sześć dzielnych psów sanki, poprzedzane przez dwu młodych ludzi; na sankach siedział starszy człowiek, krępy i barczysty, o niemylącym wyrazie twarzy.

Obaj chłopcy — gdyż wiek obu młodzieńców mógł wynosić najwyżej 18—19 lat — szczuplejsi, lecz silni, podobni do siebie jak tylko dwaj bracia podobni być mogą, byli żywym przeciwieństwem swego starszego towarzysza.

Śnieg zaczyna być zbyt miękki Marcini — odezwał się Józef Burton, młodszy z dwu braci.

Dalszą rozmowę przerwał im suchy świst bata i bolesny skowyt jednego z psów; spojrzenie wstecz przekonało Marcina, że uderzonym był Buck, przodownik zaprzęgu; przez grzbiet mimo gęstego futra, przebiegała krwawa pręga, świadcząca o niezwyklej sile uderzenia.

— Cóż to ma znaczyć Hormancie? pocziwe zwierzęta robią przecież co mogą!

— Nie wtrącaj się do nieswoich rzeczy żółtodziubie — odparł zirykowany Hormant — wiem jak się obchodzić z psami! kierowałem zaprzęgiem gdy ciebie jeszcze na świecie nie było.

— Nie przeczę temu, lecz właśnie dla tego powinniście lepiej niż ktokolwiek wiedzieć, że robią one co tylko jest w ich mocy.



— Zrobiłbyś lepiej, pamiętając, że psy są moją wyłączną własnością — zawołał purpurowy z gniewu Hormant — mam zresztą coś lepszego do roboty, niż słuchać uwag takiego smarkacza! — To rzekłszy rozwinął znowu swój długi bat, chcąc raz jeszcze uderzyć któregoś psa.

Nim jednak zdążył to zrobić, Marcin był przy nim i chwycił go za rękę.

— Nie zrobicie tego! a jeśli chcecie na kims wyładować swój zły humor, to już raczej na mnie, niż na tych bezbronych zwierzętach

Twarz Hormanta pobielala z wściekłości: z całą siłą opuścił bat na twarz Marcina, który początkowo zachwiał się, lecz następnie błyskawicznie chwycił swego przeciwnika i rzucił go w miękki śnieg, w którym Hormant ugrzązł chwilę bez ruchu, zaplątawszy się we własne futro i narty. Gramoląc się i usiłując wstać, schwytał rewolwer, lecz Marcin zręczniejszy odeń, szybko mu go z ręki wytrącił.

Dajcie temu spokój — rzekł zimno Marcin — wszak jeśli będziecie mnie zabili, mój brat mnie pomści. A muszę wam powiedzieć, że się już zdążyłem poznać na waszych zdolnościach; od kiedyś wyruszyli, zachowywaliście się jak brutal! Jeśli i na przyszłość nie zmienicie swego postępowania, Józef i ja powrócimy do siebie, pozostawiając was samych.

Hormant z twarzy chłopców spostrzegł, że gotowi byli wykonać swą groźbę, uspokoił się więc:

— Et, robicie tyle hałasu o nic; jesteście zresztą niedzięczni, czyż to nie ja właśnie dostarczyłem wam środków do wykonania tego przedsięwzięcia?

— Zapewne — lecz wicie też dobrze, że zyskujecie światnie na tym interesie, i że nigdy nie znaleźlibyście „Złotego Wybrzeża” bez naszej mapy. W każdym razie, powtarzam wam, mamy już tego dość! Jeśli nie dacie nam słowa, że będziecie znośni — do widzenia.

Hormant znał już wagę słowa Marcina Burton'a, odpowiedział więc:

— Dobrze zatem; uznaję me błędy; mam już taki charakter — lecz będę się starał poprawić; nie mówmy więcej o tem.

— Niech i tak będzie — a teraz dalej naprzód. Myślę, że za kilka godzin zobaczymy wolne morze.

— Przepraszam — rzekł Hormant — będzie ono jeszcze pewnie okryte lodem, dopiero za jakiś tydzień lub dwa przyjdą roztopoty; lecz tymczasem, naprzód! — i trzasnąwszy z bata zawołał:

— Hui! — poczem cały zaprzęg ruszył z wawo w bezkresną dal.

Nad wieczorem dotarli do łańcucha pagórków, okrytych śniegiem i, znalazłszy tam dogodnie miejsce, rozbili obóz.

W pobliżu była zatoka, chłopcy poszli więc wyrąbać dziurę w lodzie, by zaopatrzyć się na kolację w świeżą rybę.

— Można by pomyśleć, że Hormant istotnie zmienił usposobienie — powiedział Marcin do brata, gdy znaleźli się sami.

— Tak — odparł Józef — szkoda jednak, że nie poznałmy go lepiej przed paru tygodniami; nie mam do niego zaufania, to krętać!

— Zapewne. W każdym razie osobnik to mało sympatyczny, nie mogliśmy rzeczywiście znaleźć gorszego towarzysza; lecz, kto pożyczka, nie może przebierać! Wreszcie najgorsze już poza nami, a za 24 godzin staniemy na Złotym Wybrzeżu.

Ryba się nie łapała, chłopcy więc, umęczeni marszem, zasnęli smacznie, owinąwszy się szczelnie w kocę.

Józef czuł pierwszy; lecz z nastającym brzaskiem słońce dopiero zbudziło Marcina; zerwał się zdumiony, brat jego spał jeszcze, a miejsce Hormanta było puste...

— Marcin zmarszczył brwi: czemuż on, nas nie zbudził? Czyżby poszedł łapać ryby na brzeg? Zbudził więc brata, który przecierając oczy, zawołał:

— Ależ to już późno, a gdzie jest Hormant?

— Być może nad zatoką — odpowiedział Marcin, wychylając się z małego namiotu.

— Okrzyk przerażenia wyrwał mu się z ust, Józef skoczył za nim.

— Cóż się stało?

— Co się stało? patrz sam! Hormant odjechał wraz z psami i pozostawił nas samych w tej śnieżnej pustyni!

II. Odkrycie.

Istotnie, wokół była pustka: ani Hormanta, ani psów, ani sanek nie było.

— A mapa — zawołał Marcin — miałem ją w kieszeni; on mi ją ukradł! Jakże znajdziemy teraz Złote Wybrzeże?

Józef widząc wyraz twarzy swego brata przy tym okrzyku, pasknął śmiechem:

— Nie rób sobie nic z tego, wprawdzie wziął on mapę, lecz nie tę mapę.

— Jakto? nic nie rozumiem. Miałem ją przecież w kieszeni, a teraz jej tam niema, któż więc zabrał ją w takim razie?

— Ja, lecz nie dziw się i słuchaj lepiej jak to było. Otóż nie dowierzałem Hormantowi. Widzisz, pewnej nocy, gdy spałeś, włożyłem ci do kieszeni podrobioną mapę...

— Więc to ty masz dobrą mapę?

— Ależ tak — odparł Józef, wyciągając ze swej wewnętrznej kieszeni sporą kopertę.

— A Hormant ma inną, podrobioną. I życzę mu wiele szczęścia z nią!

— Dlaczego?

— A no, toż kiedy się spostrzeże, będzie porządnie zły! Falszywa mapa jest bowiem identyczna z prawdziwą, zmieniłem tylko szerokość geograficzną o dwa stopnie na zachód, a w ten sposób nasz złodziej będzie szukał „Wybrzeża” o 160 km dalej.

— Marcin roześmiał się.

— Doskonale Józku, znakomicie! Nigdybym nie przypuszczał, że zrobisz coś podobnego. Ale jest to bardzo złośliwie z twej strony. Niechże zatem nasz niepoń podąży dalej swoją drogą.

— O nie — zaprzeczył Józef poważnie — zapominasz, że zabrał on wszystkie nasze bagaże! Jeśli go nie dogonimy, przyjdzie chyba z głodu umrzeć.

— Co to, to nie; nie mamy obecnie dalej niż dzień drogi do naszego celu, a na wyspie znajdziemy wszelkie zapasy, jakich nam będzie potrzeba. Stary Bertin Dauson zaopatrzył swą chatkę doskonale.

— Co — jest żywność na wyspie? O tem zupełnie nie wiedziałem. Zatem wszystko w porządku, niema co zwlekać — w drogę. Pogoda nam sprzyja, droga jest łatwa i prawdopodobnie o zachodzie będziemy na miejscu. Naprzód!

Czas był istotnie wymarzony; niebo czyste, wiatru nie było i teren zlekka opadał w kierunku Oceanu Arktycznego. O godzinie 3 po poł. zatrzymali się nad brzegiem morza. Dwa kilometry lodu dzieliło ich jedynie od wyspy Seacow, stanowiącej ich cel. Nad wieczorem stanęli tam cali i zdrowi. Marcin spojrział na mapę:

— Chatka powinna być w tym kierunku — powiedział, wskazując na zachód.

— Spodziewam się! Cóż za nieszczęście, gdyby tam nic nie było!

— Bądź spokojny jestem zupełnie pewien. Choć mocno zmęczeni, obaj pobiegli w kierunku niewielkiego wzgórza, poza którym spodziewali się odkryć chatkę starego Dausona. Józef zobaczył ją pierwszy.

— Hura! Otóż i ona Marcinie.

Chatka była niewielka, lecz trwała, zbudowana ze szczyłek krętowych i zasłonięta od północy skalami pagórka. Józef, który biegł pierwszy był już tylko o kilka kroków od bramy, gdy usłyszał nagle przerażony okrzyk brata:

— Uważaj Józku!

— Cóż tam znowu — odpowiedział, nim jednak zdążył dodać jeszcze słowo, zobaczył, zwracając głowę w kierunku węgła domku, olbrzymiego białego niedźwiedzia, który z groźnym pomrukiem biegł wprost na niego.

Józef chciał zdjąć strzelbę z ramienia, lecz ruch ten zahrałby zbyt wiele czasu wobec szybkości napadu.

Gdyby nie przytomność umysłu Marcina, który o kilka chwil wcześniej spostrzegł niedźwiedzia, Józef byłby niewątpliwie zginął w strasznych uciskach potężnych łap rozżartego misia.

— Marcin jednak, który w czasie jeszcze spostrzegł niebezpieczeństwo, zerwał w tej samej chwili swój sztuciec z ramienia. Był on doskonałym strzelcem, nigdy jednak celność jego strzału nie była na taką próbę wystawiona.

Wiedział, że jeśli chybi, Józef zginie bez wątpienia, Na szczęście nerwy jego w chwili niebezpieczeństwa nie zawiodły, i kiedy przykładał kolbę do ramienia, był tak spokojny, jakby strzelał do tarczy.

Nie było ani sekundy do stracenia; niedźwiedź bowiem biegł całym pędem: krótkie westchnienie do Boga — i Marcin nacisnął cyngiel.

Potwór zatrzymał się nagle, jak człowiek uderzony między oczy, potrząsnął swą olbrzymią głową i chwycił się gwałtownie za piersi. Następnie, wstając na tylnych łapach ryknął wściekle, a struga karmazynowej krwi buchnęła mu na śnieżne futro.

Baczność, — powtórzył Marcin, i strzelił powtórnie. Niedźwiedź upadł znowu na cztery łapy, biegł jednak dalej wprost na Józefa, lecz ten dość już miał czasu do zdjecia strzelby i wpakował bestji z bezpośredniej bliskości kulę wprost w oko. Zwierzę upadło w tył — a ostatnie jego drgawki przerwał wystrzał z rewolweru, skierowany w ucho.

Józef zwrócił się do Marcina.

— Dziękuję Ci, kochany — powiedział po prostu. Lecz Marcin, nie zwracając na to uwagi, podszedł do niedźwiedzia, mówiąc:

— No, mamy mięsa dość, na cały miesiąc, nie dziwiłbym się jednak, gdyby gdzieś niedaleko były niedźwiadki, jest to bowiem samica.

— Nie mówmy o tem narazie, — odparł Józef, — i wejźmy do środka. Nie mam wcale ochoty spotkać jeszcze jednego członka tej milej rodziny — już nie mogę.

Zewnętrzny wygląd domku wskazywał, że nieraz musiał on wytrzymać ataki niedźwiedzi, lecz mocne drzewi udaremniły wszelkie ich zakusy i kiedy bracia, otworzywszy je wreszcie, weszli do środka, znaleźli wszystko w zupełnym porządku.

Stary Dauson, mówił prawdę, zapewniając chłopców, że miejsce było dobrze zaopatrzone w suszone mięso, mąkę, kawę, cukier, a nawet suszone owoce. Również i opał było pod dostatkiem. Chłopcy rozpaliwszy na prędce ognisko, przygotowali sobie wspaniałą kolację i zasnęli potem snem sprawiedliwych. Nazajutrz rano, po śniadaniu udali się na wybrzeże.

Dauson, stary wędrowiec, opisując swą wyspę dokładnie im objaśnił gdzie należy kopać.

— Gdyby mnie tak reumatyzm nie gnębił, napewno byłbym dziś najbogatszym człowiekiem w Ameryce — zapewniał.

Pierwszą rzeczą, którą spostrzegli, było morze, polyskujące cudnym lazurem w słońcu. Marcin krzyknął radośnie: —

— Patrz Józku — lód puścił!

— No i cóż z tego?

— Co z tego? To oznacza żeśmy się uwolnili od Hormanta, który nie będzie nas mógł już odnaleść.

— To prawda; nie myślałem o tem, lecz my? Jesteśmy tu przecież odcięci od świata.

— Nic nie szkodzi, będziemy szukać złota przez całe lato, a potem odejdziemy sobie, gdy morze znowu stanie po pierwszych mrozach.

— Hm, lecz przekonajmy się wpierrw, czy jest tu złoto istotnie. Niepewność nie trwała długo i obaj zabrali się żywo do odkopywania piasku nieco nad poziomem morza i zaraz spostrzegli ziarenka cennego metalu. Nie minęło dwie godziny, a uzyskali już ze 30 gramów złota, wieczorem zaś byli w posiadaniu całego funta okruchów.

— Marcin zagwizdał z radości, spoglądając na owoce pracy.

— Wiesz Józku, jest tu tego więcej niż za 1500 franków. Pomnóż 1500 przez ilość dni w ciągu 5 miesięcy — toż to majątek!

— Trudno w to uwierzyć.

— A jednak tak jest. Jeżeli zaś znajdziemy brylki, ilość ta z łatwością się podwoi.

Józef patrzył na brata z pewną obawą.

— Słuchaj Marcinie, a czyś ty myślał ile to będzie ważyć?

— A to poco?

— Nie mamy przecież psów, jakże więc przewieziemy nasze bogactwa do linii kolejowej?

— Marcin zbłądł i poraz pierwszy nie wiedział co odpowiedzieć.

(The Scout.) C. d. n.



Dr. Maksymiljan Krygicz.

Pogadanki weterynaryjne.*)

Zanim przystąpimy do szczegółowego wyliczenia chorób, w których harcerz może dać wybitną pomoc weterynaryjną, musimy ogólnie parę słów powiedzieć o chorobach zaraźliwych, gdzie pomoc ta ogranicza się do małych rozmiarów.

Nie jest rzeczą obojętną, czy mamy do czynienia z chorobą zaraźliwą, czy nie. Większość bowiem chorób zaraźliwych zwierzęcych przenosi się na ludzi, powodując niejednokrotnie długotrwałe stany nieuleczalne, a niekiedy i śmierć.

Choroby zaraźliwe cechuje przeważnie nagłe załabnięcie lub padnięcie zwierzęcia z niewiadomej przyczyny. Jeżeli padnie jedno zwierzę, a za kilka godzin lub dni drugie wśród podobnych objawów, wtedy winniśmy podejrzewać chorobę zakaźną.

*) Rozpoczynając druk „Pogadek weterynaryjnych”, pragniemy przedewszystkiem przyjąć w ten sposób z pomocą naszym braciom — harcerzom wiejskim. Poza tem nie wątpimy, że zainteresują one wszystkich, którzy choć część lata spędzają na wsi i chętnie podzielią się mądrością, zaczerpniętą z pogadek, ze swem wiejskim otoczeniem. (Przyp. Red.)

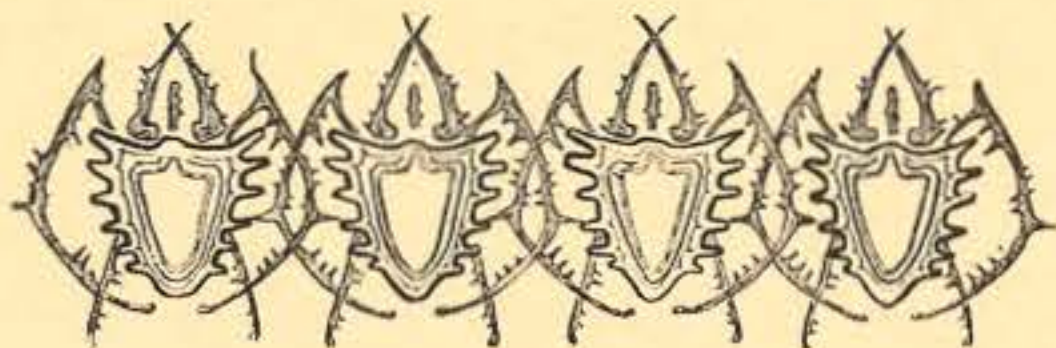
Cóż winien uczynić harcerz, jeśli go o tem powiadomiono, lub jeśli sam to zauważył? Należy poradzić niezwłocznie właścicielowi zwierzęcia, by powiadomił o tem władze miejscowe, t. j. sołtysa i odnośny komisariat, gdyż nieuwiadomienie pociąga za sobą surowe kary.

Na czem polega pierwsza pomoc? Ogranicza się ona do odosobnienia za wolą właściciela zwierząt zdrowych od chorych, względnie jeszcze od tych, które pozostawały w bezpośredniej styczności z chorem. Jeżeli jest większa ilość zwierząt, należy je podzielić na możliwie najmniejsze stada, naturalnie w obrębie tej samej zagrody. Podział ten ma te dobre strony, że niektóre stada pozostaną zdrowe, podczas gdy inne będą chore, lub padną; zatem choroba nie roznieśli się na wszystkie zwierzęta. Do żywienia i pojenia zwierząt używać dla każdego składu osobnych naczyń, a nawet obsługi. Przenoszenie bowiem zarazki z chorych na zdrowe zwierzęta odbywa się za pomocą rąk człowieka obsługującego (czyszczącego), butów, ubrania, naczyń i t. p. Zarazki chorobowe są tak małe, że w jednej kropelce śliny chorego jest ich kilkanaście milionów. Na składy podzielone zwierzęta wolno, jak już

wspomniałem, rozmieszczać jedynie w obrębie tej samej zagrody, a zatem nie wolno ich wyprowadzać nigdzie poza obręb tego domostwa, w którym panuje zaraza. Sprzedając lub przeprowadzając stada zwierząt pochodzące ze stajni zakażonej do ubikacji sąsiednich lub dalszych wolnych od zarazy, roznosi się ją świadomie i staje się winnym zbrodni rozwoleknięcia zarazy.

Żadnych innych środków zaradczych stosować nie wolno, a specjalnie upuszczania krwi, w której właśnie żyje zarazek, zdejmowania skóry z padłych, gdyż to się przyczynia do rozwoleknięcia zarazy.

Harcerz opuszczając zagrodę, w której miał do czynienia z zaraźliwą chorobą zwierzęcia, pamiętać winien o dokładnym umyciu sobie rąk ciepłą wodą i mydłem, oraz jakimś środkiem odkażającym (karbol), o których będzie później mowa, tudzież o dokładnym otarciu i obmyciu środkiem odkażającym trzewików; zaniedbując tej powinności może nie tylko siebie zarazić, o ile choroba jest przenośna na ludzi, ale zamiast pomocy może przynieść szkodę ludności przez roznoszenie zarazy między zdrowe zwierzęta wioski.



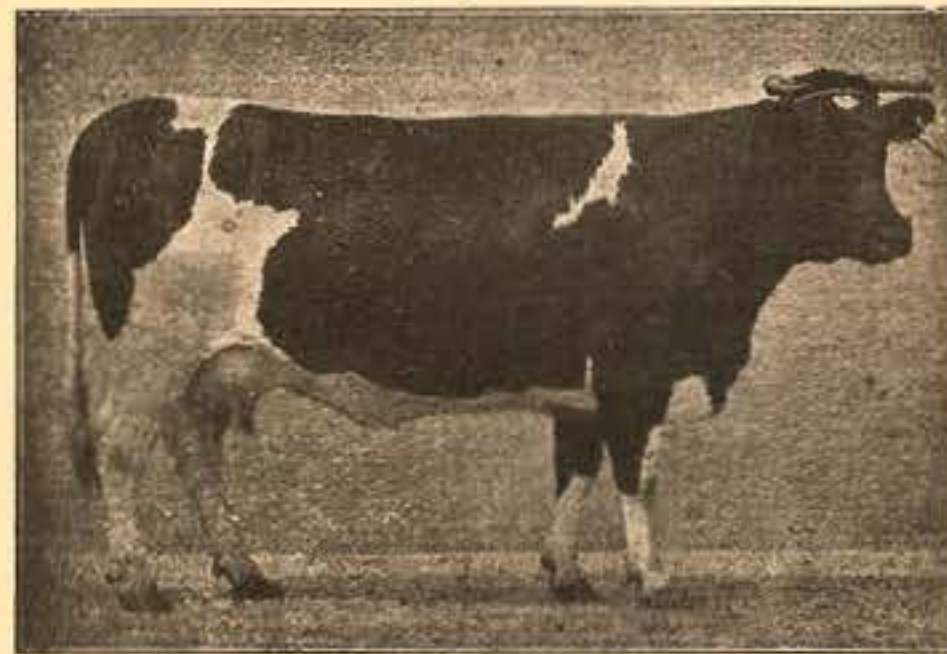
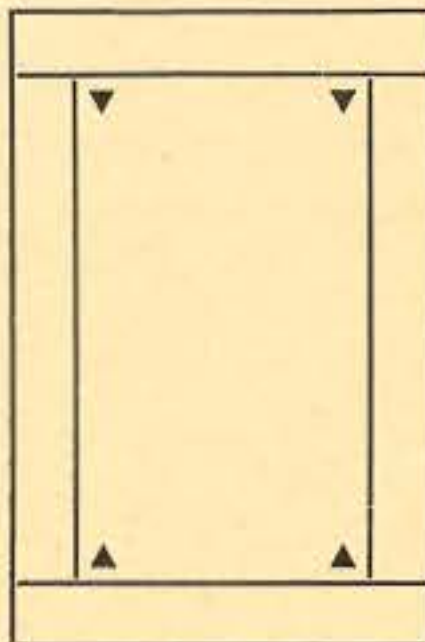
Mały Kazio.



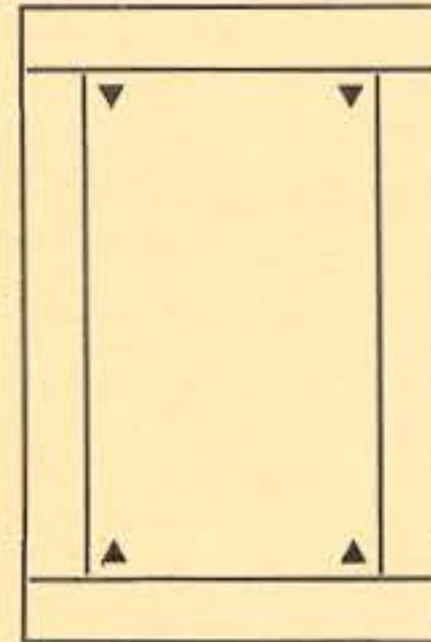
Chociaż był nie od parady,
Miał nasz Kazio swoje wady:
Nie dbając co z tego będzie,
Nos swój zawsze wścibiał wszędzie.
Dziś po polach wciąż buszuje,
Wszystko go interesuje,
Nawet kwiatek, czy żdźbło słomy:
On na wszystko jest łakomy.



Ujrzał jakiś kwiat zdaleka:
To na niego jakby czeka!
No — i patrzcie — tam do licha!
Już zagląda do kielicha.
Aż tu raptem wielka osa
Prosto leci mu do nosa!
Stąd naukę masz jak z nieba:
Nie suń nosa, gdzie nie trzeba!



Rasa nizinna, czarno-graniasta.



Polskie rubiny.

Oj ziemi, ty ziemi, sieroto!
Jest w tobie i srebro i złoto,
Jest w tobie dla wszystkich dość chleba,
Tylko Cię miłować potrzeba!

(Konopnicka).

Co, te piękne, drogie kamienie o purpurowym ogniu, w Polsce? Może tu mowa o klejnotach króla Zygmunta Augusta? kto wie, może ktoś je przechował, by w Polsce odrodzonej ujrzaly światło dzienne? Lub może jaki Amerykanin, Francuz, Włoch lub inny przedstawiciel przemysłu międzynarodowego wierzący naftę na Podkarpaciu natrafił na miny tych cennych kamyków? Kto wie, ma Polska marmury pyszne w Kieleckiem, sól i naftę na Podkarpaciu, węgiel na Śląsku Górnym, zło-cisty bursztyn na wybrzeżu bałtyckim, czemuż by nie miała mieć i innych skarbów w ziemi, to możliwe. Ale gdzież one są? Zaraz wam odpowiem. Polskie rubiny znajdują się przeważnie w południowo zachodniej części kraju naszego. Więc poczawszy od południowych powiatów wojew. Poznańskiego trafiają się coraz częściej na Śląsku, w zach. Małopolsce i sąsiednich województwach byłej Kongresówki. Są one istotnie piękne, te nasze rubiny. Lśniące, czerwono brunatna skóra okrywa ich kształtną postać, miarowo zakręcone rogi zdobią ich czoło, wszystko tworzy całość harmonijną, tak że oko przyjaciela zwierząt z upodobaniem na nich spoczywa, czy pracują w plugu, czy też pasą się na zielonej murawie lub leżą przeżuwając w cieniu drzew. Jak to? To chyba pomyłka! Przecież to nie żadne rubiny, to pospolite bydło domowe! A tak, mowa tu o bydle czerwonym polskim, lecz proszę o odrobinę cierpliwości. Z wszelkich zwierząt domowych dziś w życiu człowieka najważniejszą rolę odgrywa bydło. Przez cały dzień wytwory z niego nam towarzyszą. Rano wbiągając obuwie skórzane, nie myślimy zwykle, że zrobione ono jest ze skóry cielęcej. Guziki u ubrania lub płaszczka zwykle są rogowe. Na śniadanie zjadamy chleb z masłem i pijamy mlekiem lub zabieloną kawą, dostarcza nam tych produktów bydło domowe. W szkole lub biurze używamy obsadki przy pisaniu. O ile ona jest z materiału podobnego do rogu, twardego, lśniącego i pięknie zabarwiona, to trzymamy w ręku obsadkę z t. zw. Galolitku. Jest to wyrób z odtłuszczonego mleka krowiego, doskonale nadający się do różnych celów, podobny do znanego powszechnie celuloidu, jednak trwalszy i zupełnie niepalny. Nie koniec jednak na tem. Także żelatynę wyrabia się z kości bydła w sposób nadzwyczaj staranny, gdyż

jest to wyrób, który musi być bezbarwny, bez wybitnego smaku i zapachu. Tęgo samego pochodzenia jest klej stolarski. Wydobywa się go z kości zwierząt przez gotowanie lub drogą chemiczną, jest to poprostu drugi, gorszy gatunek żelatyny. Nawet różne leki wyrabia się z poszczególnych części ciała bydłowego. Na brak apetytu zapisuje lekarz pepsynę, wyrabianą z żołądka cielęcego. Przeciw brakowi krwi doskonale są środki wyrabiane z krwi bydłowej. Z surowicy tejsze krwi wyrabia się różne szczepionki przeciwchorobowe. Poprostu nie ma dnia w życiu ludzkim, w którymbyśmy bez pomocy wytworów z naszego bydła domowego obyć się mogli. Wielkie znaczenie chowu bydła rozumie Danja. Jest to kraik nie wiele większy od któregośkolwiek z naszych województw, bez skarbów kopalnianych, a jednak dzięki doskonale prowadzonej hodowli bydła zajmuje on poważne miejsce w świecie państw Europy. Oświata stoi tam na bardzo wysokim poziomie, a dobrobyt jest bardzo wielki. Pracowici Duńczycy, wyzyskując umiejętnie warunki miejscowe, po przegranej wojnie z Prusami i Austrią w r. 1864 już przez kilkadziesiąt lat doprowadzili kraj zachwiany, przez wytrwałą pracę nad chowem bydła do wielkiego rozkwitu. A u nas w Polsce jak się rzecz przedstawia? Chów bydła na ogół zaniedbany bardzo, mimo dobrych warunków przyrodzonych. Przeważnie chowamy rasy zagraniczne, które stale poprawiamy „nowo sprowadzanymi okazami” z zagranicy. Jednakowoż widać już pewien zwrot ku lepszemu. Wielu rolników hoduje umiejętnie miejscowe bydło polskie, czy to białogrzbiety, czy też przedewszystkiem czerwone bydło polskie, one polskie rubiny, które z ras bydła krajowego największą mają na razie wziętość i najwyższe co do użyteczności zostały doprowadzone. Gdy i my dojdziemy do tego, że nasze polskie bydło będzie znane na całym świecie, gdy wszelkimi wyrobami z niego będziemy zaopatrywali zachodnią Europę, wówczas bogactwo i u nas się wzmoże a z niem i oświata, jak w małej Danji. Widzimy więc, że w ziemi naszej mamy skarby o wiele cenniejsze od pereł, złota i drogich kamieni, których migotliwy błysk nieraz musi pokrywać nędzę i lzy mas.

R. Jasińczyk.

Jamboree.

Niecały miesiąc dzieli nas od tegorocznego międzynarodowego zlotu skautowego pod Kopenhagą.

Jak się dowiadujemy Anglicy wybierają się nań w liczbie 2 tysięcy, Stany Zjednoczone w liczbie kilkuset, a zabierają ze sobą łózka żelazne, orkiestrę oraz kucharzy — murzynów! Prawdziwy komfort! Japończyków będzie około 40. Wogóle w zlocie ma wziąć udział 21 narodowości.

Ciekawe i sensacyjne będzie otwarcie zlotu. Dokona go król duński przy pomocy radjotelefonu. Każde jego słowo usłyszy każdy skaut w obozie, gdzie mają być ustawione tuby do słuchania. Nadto depeszę tę odbiorą wszystkie radjostacje świata, który w ten sposób dowie się, że wielkie święto młodzieży rozpoczęło się.

Z Polski, oprócz oddziałów reprezentacyjnych, wyrusza spora liczba drużyn na własną rękę. Mamy nadzieję, że potrafią pokazać światu, czem jest u nas harcerstwo! Wyruszą około 4 sierpnia.

Zlot cały potrwa od 9 do 24 sierpnia, z tem, że czas od 16 do 24 będzie poświęcony na zwiedzenie Danji, której serdeczna gościnność nie da się wprost opisać.

W następnym numerze dostarczymy wielu ciekawych wieści, które nam nadesłał specjalni nasi korespondenci.



OD REDAKCJI

W tym pierwszym pozlotowym numerze uważamy sobie za obowiązek złożyć serdeczne podziękowanie Komendzie chorągwi poznańskiej za szczerą, dowodzącą głębokiego zrozumienia potrzeb pisma, życzliwość, tudzież drużynom 14. poznańskiej, 4. bydgoskiej, 15. poznańskiej 17. poznańskiej i 5. poznańskiej za pełną owocową pracę około rozpowszechnienia „Czuj Ducha”.

Odpowiedzi.

Dh Bąk T. z Brzeżan. Zaległe n-ry wysyłamy. Przepraszamy.

I łeczycka. Pieniądze nie nadeszły — proszę reklamować na pocztę.

Dh Bartkowski E. z Kraśnika. N-ry wysłaliśmy. Jeśli nie doszły wina pocztę.

Dh Lachowicz z Lublina. Pieniądze za IV. kw. 1923 r. nie wpłynęły. Trzeba reklamować na pocztę. Rocznik zamówić najlepiej w jesieni. Cena n-rów i koszt oprawy.

Nadsyłane nam artykuły prosimy pisać tylko po jednej stronie arkusza. Odpowiedzi udzielamy tylko na żądanie.

X. drużyna harc. Poznańska sprzeda, lub zamieni na przyrządy do piłki koszykowej lub sieci do piłki latającej dobrze utrzymane „bramki do piłki nożnej”. Zgłoszenia przyjmuje „Czuj Duch”.

PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką pocztową 1,10 zł. bez przesyłki 1 zł. Numer pojedynczy 0,35 zł.

WPŁATY skutecznie można wprost w Administracji, lub na konto czekowe P. K. O. Nr. 203662.

Adres Redakcji i Administracji: Poznań, Zamek.

Kierownik Redakcji: Dr. Stefan Papée. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Adam Schmidt. Wydawca: Zarząd Oddziału Wielkop. Zw. Harc. Polsk. w osobie: Zbigniewa Kowalewskiego. Czcionkami Drukarni Uniwersytetu Poznańskiego.

GEBETHNER i WOLFF KSIĘGARNIA i SKŁAD NUT W POZNANIU UL. FR. RATAJCZAKA 36

Amicis E. Serce. przekład M. Konopnickiej	Zł. 4,07	Sienkiewicz, H. Ogniem i mieczem.	Zł. 6,33	Umiński Władysław. Na drugą planetę	Zł. 4,07
Anczyz Wł. L. Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników.	4,62	— Potop.	10,56	— Synowie puszczy	3,52
— Robinzon Kruzoe	4,07	— Pan Wołodyjowski	3,96	— W podobłocznych Krainach	5,50
Barszczewski St. W osiem dni dokoła świata	3,30	— W pustyni i w puszczy	4,70	— W puszczach Kanady	4,07
Chodźko Ignacy. Pamiętnik Kwestarza. Wydanie skrócone w pracowni J. Grabowskiego. Z ilustracjami E. M. Andriollego.	5,94	Umiński Władysław. Balonem do bieguna. Przygody z podróży powietrznej ponad lodami. Z 6 ilustracjami W. Szyndlera. Wydanie 3-e zmienione.	5,28	— Znojny chleb	4,62
Gomulicki Wiktor. Wspomnienia niebieskiego mundurka. Wydanie 4-te. Z 6 ilustr. K. Górskiego.	5,50	— Na falach Atlantyku. Przygody rozbitków pośród oceanu z 5 ilustracjami. E. Bartłomiejczyka. Wydanie 2-e	4,12	— Zwycięzcy oceanu	5,50
Janowski Al. Maciuś Pedrak wśród Indian	5,50	— Od Warszawy do Ojcowa. Przygody w podróży po kraju. Z 11 ilustracjami Z. Grabowskiego. Wydanie 3-e popraw. przez autora	5,94	Verne J. 20,000 mil podmorskiej żeglugi	5,28
Mossóczowa Michałina. Za tysiąc lat. (Z marzeń młodego idealisty). Powieść fantastyczna z 15 ilustracjami W. Szyndlera.	4,62			— Dzieci Kapitana Granta	5,50
				— Wyspa tajemnicza	5,28
				— Skarby Wulkanu	4,62
				— W pogoni za meteorem	3,30
				Włodkówna Bronisława. Przeciw złej doli. Opowiadanie dla młodzieży. Z 4 ilustr. Z. Bleszyńskiej.	1,37
				Zaleska M. J. Młody wygnaniec	4,62